MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVII. Nr. 6 WARSZAWA, 7 LUTEGO 1937 R. CENA NUMERU 80 GR.

NA POLU CHWAŁY

O ILE PISZĄC o „złotym wieku" (ob. nr. 4 „Myśli Narodowej") trzymałem się jeszcze jako tako ram recenzyjnych, o tyle teraz, gdy mam zdać sprawę z początku tomu drugiego, czuję, że napiszę raczej własne myśli i refleksje jak rzetelne sprawozdanie o znakomitej pracy prof. Konopczyńskiego. Ale też zaletą walną tej książki jest to właśnie, że przedstawia ona przeszłość tak żywo i sugestywnie, że zmusza wprost do jakiejś jej oceny, i do różnych nad uią przemyśleń. Równocześnie zaś budząc te potrzeby, ostrożna książka ich całkowicie nie zaspakaja. Autor jej nie naśladuje Bobrzyńskiego i nie daje już gotowego sądu, nie podsuwa od siebie nic czytelnikowi. W większości wypadków jest to oczywiście zaletą, ale jednak czasem chciałoby się jakiegoś wyraźniejszego sądu i bardziej zdecydowanego postawienia sprawy.

Tak jest na przykład, gdy się czyta syntetyczny rożdział o wieku XVII-tym, który wydaje się jakiś dziwnie skromny i niewyraźny w stosunku do tego chociażby, co autor nam napisał o wieku zygmuntowskim. A choć wziąść pod uwagę, że cały szereg ogólniejszych rzeczy, mających znaczenie dla całego opracowanego przez Konopczyńskiego czasokresu — autor tam właśnie zawarł i powtórzeń chciał uniknąć, to jednak stanowczo dysproporcja stu z górą stron i kilkunastu jest rażąca. Te kilkanaście stronic to stanowczo zamało, jak na czasy, które urobiły nasz charakter narodowy i naszą polską, ale już na trzech unijnych pierwiastkach opartą tradycję.

Znaczenie więc tych czasów niesłychanie ważne. Wtedy właśnie w czasie krwawych burz kozackich i wojen z półksiężycem dawna Polska doszła do zenitu. Odsiecz wiedeńska dała jej sławę „o jakiej wieki przeszłe nigdy nie słyszały" i której już później nic nie zaćmiło. A równocześnie najgłębszy swój upadek i najhaniebniejsze sejmy naród wtedy właśnie przeżył. Nie za sasów, jak się powszechnie myśli, bo wtedy już kiełkowała myśl odrodzenia i rodził się ożywczy prąd naprawy, ale za Sobieskiego, gdy bałamutnym paradoksom Fredry niczego nie usiłowano nawet przeciwstawić. Jest więc to epoka kontrastów, pełna zła i dobra, choć w blasku glorji wiedeńskiej tamtego się naogół nie dostrzega.

Zresztą nie dostrzega się słusznie. Bo jeśli chodzi o ogólny aspekt epoki, niewątpliwie jest ona właśnie bohaterską epoką chwały i wielkości. Typ polski, który wykarmiony słońcem złotej wolności wtedy się po raz pierwszy skrystalizował, pokazał swoje dodatnie strony. Złą staropolszczyznę uwypukliły dopiero czasy saskie, wiek siedemnasty, to przedewszystkiem wiek bezinteresownego, przejętego poczuciem swojej misji rycerza; czasy saskie — krzykliwego domatora, przejętego tylko troską o swoją prywatę. Wprawdzie te typy jak Don Kichot i Sancho Pansa stanowią w naszem życiu nierozłączną parę, ale piętno epoce nadaje z nich tylko ten, który zdoła przeważyć. Polska rzeczywiście „więzi duszę anielską w rubasznym czerepie" i szamocze się w tych swoich sprzecznościach, coraz jednak dążąc do ideału.

Wielkość i znaczenie wieku siedemnastego kryje się w jego chwale, w tem, że on właśnie zdołał narodowi dać ten wieniec laurowy, którego nigdy nikt już nie zakwestionuje. Polska wtedy zdobyła uznanie prawdziwej wielkości i bez Sobieskiego nie wystarczyłaby nam do legitymacji przed Europą sama chwała wieku złotego, i sam typ kultury na swobodzie i równości oparty. Wielkim — a nietylko sławnym, czy szczęśliwym narodem — jest ten tylko, co dźwiga na sobie brzemię świata, brzemię cywilizacji. Troska i walka o coś większego, przerastającego samo narodowe ja, dopiero legitymuje z istotnych wyżyn. Trzeba oddać światu przysługę, by on ocenił naszą rolę, trzeba wyjść poza siebie, po za swój egoizm, by zdobyć wielkość i chwałę nie negowaną przez nikogo.

To dał nam Sobieski i to zdobył sobie naród

pod Wiedniem w „jarzmie świętej Ligi" i dziwnie małostkowemi są często u nas żale, na taki obrót sprawy i na przysługę jaką oddał Jan III Habsburgom. Aleśmy przecież walczyli dla Krzyża, a wtedy nie żąda się zapłaty, a korzyści moralnych nie można równać z materialnemi i stale się targować o ezawową miskę soczewicy.

Ten problem czasów polskiego baroku jest szczególnie dzisiaj aktualny, gdy tak wiele mówimy o „wielkiej Polsce". Głośno o niej, ale za wiele mojem zdaniem w tych mowach i myślach zacięcia pozytywistycznego, materialistycznego. Za wiele (z całem poczuciem odpowiedzialności to mówię) nieprzetrawionego, narodowego egoizmu. Słowem za dużo trosk i marzeń w guście Marty. A jednak Polska wielka, to tylko Polska wielkich Polaków i wielkiej idei. A wielka idea to coś większego nad bądź co bądź doczesny i przemijający naród. My wprawdzie możemy zdobyć wielkość służąc narodowi, bo on większy od nas i w ten sposób wychodzimy za siebie, ale nasz naród służąc tylko sobie wielkości nie zdobędzie, a i my przez to obniżymy swój lot. Polska musi wiedzieć i czuć, że służy swojej cywilizacji, swojemu Bogu, że jej potęga i wielkość nie są nigdy celem samym w sobie i jak w tych czasach złotych swej potęgi — pragnąć chwały nie dla siebie, a dla Boga. To jest testament Sobieskiego i jego husarji.

Wyda się to zapewne niejednemu z moich czytelników jakiemś wpadaniem w nowy mesjanizm, nieoglądaniem się na rzeczywistość. Dźwięczą nam wszystkim jeszcze w uszach słowa Wyspiańskiego, który modlił się, żeby nasz naród mógł żyć normalnie. Otóż uważam, że właśnie atmosferą normalności dla naszego narodu jest jedynie atmosfera wielkości — a ta, choć powinna być daleka od cierpiętnictwa zawsze musi się liczyć z możliwością ofiary.

Wracając do Sobieskiego, niech nas nie myli i nie bałamuci polityczne niepowodzenie tej wyprawy, bo leżało ono gdzie indziej, wcale nie w jakiejś błędności marszu pod Wiedeń. Wewnętrzny Sancho Pansa pozbawił nas praktycznych owoców naszej chwały. Ale duchowych owocow nikt nas pozbawić nie mógł. I nie dziwi, że w tym właśnie wieku słabnąca już Polska święci największe tryumfy swojej duchowej ekspansji. Że Gundulić opiewa Chocim, a później jego epigoni Wiedeń (poemat „*Obieruženie Becza*"), że cała Ukraina przepojona jest polskością, która świecić jeszcze będzie na baturyńskim dworze Mazepy. Że chanowie krymscy po polsku mówią i uważają ten język za dworski i obyczajny; że on z całą siłą przenika do przedpiotrowej Moskwy Fiodora i regentki Zofji. Że w dzisiejszej Rumunji za Sobieskiego ginie Miron Costin, że cały Bałkan w nas widzi swoje wybawienie i że u nas ratunku szukają Parcewicz, czy Križanić. Jeśli zaś chodzi o zachód to i tam sięga wiekopomna sława króla Jana i imię polskie wprawdzie na krótko odzyskuje ten splendor jaki mu odebrali różni Barclaye, a raczej nasza własna anarchia barwnie odmalowana ich piórami. Ale Niemców pociągamy i wielki Leibniz szczyci się swojem polskiem od arjan Lubienieckich pochodzeniem.

A całą chwałę owego wieku i całą późniejszą duchową moc Polski wydźwignął swoim wysiłkiem typ rycerza gotowego zawsze do ofiary. Jest to ten typ, który tak ślicznie przedstawia M. Pawlikowski w swoich ostatnich „Oknach" w szkicu „Biją w tarabany"; on to pozwolił nam później przetrwać owe sto lat ciężkiej niewoli. Typ wprawdzie mający swoje braki, ale też i mający największą wartość heroizmu. Charakterystyczne dla jego genezy — owego wypaczenia się w unijnym alembiku jest ta jego niecodzienna heroiczność, ów duch pospolitego ruszenia, gdzie moc jakby utajona i spoczywająca, naraz w potrzebie się ukazuje. Symbolem jego husaria, której zalety i braki tak świetnie roztrząsa Konopczyński. Nie potrafi on organizować, nie rozumie znaczenia ciągłości, ale posiada entuzjazm chwili i bajeczną zdolność przetrwania. Nie jest oczywiście idealny, ale podkreślmy, że dawna Polska się na lepszy nie zdobyła, że to co mu brakuje my już sami uzupełnić musimy. A wartość jego dla nas polega na tem, że on rozumiał wielkość, czuł jej potrzebę i wiedział, że jej nie ma bez życia idealnego, że oglądał się zawsze na rzeczy wieczne, nie cofał nigdy przed ofiarą i zapłaty za nią szukał tylko u Boga.

I tak jak nauką złotego wieku jest dla nas potrzeba charakteru, potrzeba osobowości — tak nauką polskiego baroku jest zrozumienie, że droga dziejowa Polski jest jedna, — a mianowicie dążenie do własnej wielkości przez służbę cywilizacji łacińskiej, przez ciągłą obronę tego świata do którego z woli Bożej należymy, słowem przez realizację naszemi rękoma planów Bożych na ziemi — *gesta Dei per Polonos*, jak wtedy na wyżynach Kahlenbergu

KAROL STEFAN FRYCZ

KONIECZNOŚĆ NAWROTU DO POLSKOŚCI

I

Z POPRZEDNICH rozważań wynika [1]) że żywioł polski stał się schorzałym, bowiem zszedł z odpowiedniej dla siebie drogi, mianowicie, z drogi rozwijania swoich zdrowych, naturalnych chęci i potrzeb we wszystkich dziedzinach swego życia.

Kto wszedł na drogę, nie wiodącą do pożądanego celu, ten, będąc rozsądnym, musi z niej wycofać się.

Jeżeli żywioł polski zszedł z tej koniecznej dla siebie drogi, to musi on nawrócić na nią, czyli musi nawrócić do polskości.

[1]) P. „Myśl Narodowa" nr. nr. 36 i 39 z 1936 r.

Aby uwypuklić tę konieczność, dostatecznie jest wskazać na kilka względów.

1) Przedewszystkiem, aby stać się zdrowym fizycznie i w ten sposób zapewnić sobie trwały byt na świecie. Bo każdy musi dążyć do zdrowia, do poprawy. Każdy pragnie leczyć się, aby przedłużyć swój żywot. Instynkt samozachowawczy poddawa tę myśl.

To samo jest i musi być z narodem, jako zbiorowością jednostek.

Że naród polski nie jest zdrowym fizycznie, na to wskazują choćby doroczne pobory do wojska: większość stawiających się do poboru Polaków nie odpowiada niezbędnym wymiarom fizycznego rozwoju. I co jest znamienne, że dotyczy to

nawet ludności ze wsi, zazwyczaj zdrowszej od ludności z miast.

Zanik z tych lub innych powodów zdrowia fizycznego żywiołu polskiego — w danem miejscu chodzi nie o przyczyny tego zaniku, a o sam fakt zaniku—jest osłabieniem jego chęci i potrzeby bycia zdrowym.

A zatem bez nawrotu do pełni tych chęci i tych potrzeb, czyli bez nawrotu do polskości w w ustroju fizycznym jego członków, nie może być mowy o jego trwałym bycie.

2) Aby stać się zdrowym umysłowo. Ten wzgląd łączy się z poprzednim, w myśl starorzymskiej zasady: „zdrowy umysł w zdrowem ciele".

Każdy musi dążyć do swego zdrowia umysłowego, czyli do posiadania oparcia w zdolności myślenia, pozwalającej człowiekowi samodzielnie i niezależnie ustalać, kiedy jakiekolwiek czyny — bądź jego, bądź obce—idą mu na korzyść lub nie, kiedy jakiekolwiek czyny przynoszą taką lub inną szkodę jemu, lub jego otoczeniu.

Posiadanie takiego oparcia umysłowego nosi w życiu codziennem miano — zdrowego rozsądku. Brak takiego oparcia świadczy o słabości umysłowej danej jednostki i w życiu codziennem nosi miano—głupoty, a jak wyrażają się inni — bezmyślności.

Tak jest z jednostką i nie inaczej jest i może być z pewną zbiorowością podobnych jednostek, a więc z narodem. Im więcej takich zdrowych umysłowo jednostek posiada dana zbiorowość, tem bogatsza jest ona w różne wskazówki życiowe. Im mniej, tem biedniejsza w nie jest ona.

Bez posiadania odpowiednich wskazówek, będących dorobkiem wysiłku myślowego najtęższych mózgów w danem społeczeństwie, i ujętych w pewien system myślowy, zastosowany do różnych potrzeb życia danej zbiorowości, a więc pośrednio bez uznawania za obowiązujący jednakowego dla wszystkich członków danej zbiorowości miernika zdrowego rozsądku i głupoty, nie jest możliwy pomyślny rozwój jej członków, a więc pośrednio całej danej zbiorowości.

Życie w dawnej Polsce nie szło tą właściwą dla żywiołu polskiego drogą zdrowego rozsądku, w przeciwnym bowiem razie wszystkie dziedziny jego życia nie zostałyby opanowane przez żywioł żydowski.

Fakt właśnie takiej niewłaściwej drogi wskazuje, że umysłowość warstwy przewodniej w dawnej Polsce była na tyle słaba, że nie okazała się odporna na umysłowy atak obcego żywiołu. Umysłowość tego ostatniego (swoim systematem „kawałów żydowskich"), np. „tolerancją" (!), jako jedynym z nich) przeważyła i życie w Polsce potoczyło się ku przepaści — musiały nastąpić rozbiory państwa Polskiego.

Czy życie żywiołu polskiego w Polsce obecnej kroczy drogą zdrowego rozsądku?

W innem miejscu przytoczono kilka przykładów głupoty, popełnianej już nagminnie zarówno przez warstwę t. zw. „oświeconą", jak i nieoświeconą, i świadczącej o niebezpiecznym stanie umysłowości polskiej.

Głupota, zwłaszcza oficjalnych kierowników musi prowadzić do upadku nietylko państwa, lecz i samego żywiołu polskiego.

A zatem, bez nawrotu do zdrowego rozsądku, nakazującego rozwijanie naturalnych chęci i potrzeb żywiołu polskiego, czyli bez nawrotu do polskości w myśleniu, nie może być mowy o jego zdrowiu umysłowem niezbędnem dla dalszego jego bytu, stanowiącego, według przyrodzonych praw człowieka, a więc i narodu, najwyższe jego dobro.

3) Aby stać się zdrowym duchowo. Ten wzgląd, jak i drugi, łączy się również z pierwszym, w myśl starożytnej zasady, że zdrowa dusza możliwa jest tylko w zdrowem ciele.

Każdy musi dążyć do zdrowia duchowego, moralnego, czyli do takiego stanu psychicznego, w którym człowiek uzyskuje przeświadczenie, że jego czyny są zgodne z dobrem przedewszystkiem jego rodaków, jako bliźnich, stanowiących wszak podstawę jego bytu, że te czyny nie krzywdzą tych bliźnich, a idą na korzyść i jego samego i bliźnich, a więc całości.

Bez zasad etycznych, czyli bez uznawania za obowiązujący jednakowego dla wszystkich członków danej zbiorowości miernika dobra i zła, nie jest możliwy pomyślny rozwój jej członków, a więc pośrednio całej zbiorowości.

Życie w Polsce nie rozwijało się i nie rozwija się według tych zasad—na przeszkodzie stanęło żydostwo.

Zasady etyczne żywiołu polskiego uległy skażeniu przez etykę żydowską, która jest oparta, jak już wiadomo [2]), na zasadach wręcz odmiennych, niż etyka narodów rdzennych w Europie, a więc i żywiołu polskiego, bo zastosowanych do warunków bytu w rozproszeniu, czyli bytu pasorzytniczego wobec ludności rdzennej, a więc krzywdzącego żywioł polski.

W innem miejscu były już przytoczone przykłady rozwielmożnienia się w Polsce dwoistości etyki, ale przypominać o tem zakażeniu etycznem, nigdy nie będzie zbyteczne.

Że zasady etyczne uległy w Polsce temu zakażeniu, na to pośrednio wskazuje choćby oficjalne zrównanie obcego i wrogiego żywiołu żydowskiego z żywiołem polskim, będącym wszak autochtonem na swoich ziemiach historycznych.

Uznanie żywiołu żydowskiego za jednakowy z żywiołem polskim, za tożsamy z nim, za „równy" mu w Polsce, oznacza oficjalne uznanie etyki żydowskiej za jednakową z etyką polską, za „równą" jej, czyli oznacza pośredni obowiązek poddania się etyce żydowskiej, zwłaszcza w zetknięciu się z żywiołem żydowskim, a więc oznacza pośrednio zakaz żywiołowi polskiemu, powodowania się we wszystkich dziedzinach swego życia swoją etyką, czyli swojem dobrem.

Dodatkowy dowód—nawiasem można dodać—schorzenia umysłowości polskiej.

Żywioł polski, będąc zmuszonym oficjalnie powodować się etyką, która jest oparta na jego krzywdzie, a więc sprzeczną z założeniami jego rodzimej etyki, jak i wszystkich narodów europejskich, musi upadać duchowo, a więc musi niszczeć, stając się pożywką dla obcych, a przedewszystkiem dla żydostwa.

A zatem bez nawrotu do swojej etyki, czyli do polskości w etyce, nie może być mowy o zdrowiu duchowem żywiołu polskiego, niezbędnem, jak wyjaśniono, dla dalszego jego bytu, stanowiącego, według przyrodzonych praw człowieka, najwyższe jego dobro.

ZBIGNIEW KRASNOWSKI

---

[2]) P. „Myśl Nar." nr. 47 z r. 1935, art. „Rozproszenie jako kalectwo".

DIALOG Z KOMUNISTĄ

KOMUNISTA: *Servus*, kolego! Czy i wy także trzymacie stronę powstańców?

JA: Także.

K. No, no. Wiem przecież, że nie macie fabryki, kamienicy czynszowej, ani sklepu. Cóż was z nimi łączy? Dobra posada? Też nie. Więc pochodzenie mieszczańskie, albo też szlacheckie?

J. Nie. Kultura.

K. Co wy mówicie? Kultura? Z feudałami i burżuazją hiszpańską, której najemne wojsko z pomocą faszyzmu Hitlera i Mussoliniego chce znów naród Maurów okuć w żelaza? Wasza kultura to mit. Ci robotnicy i chłopi, którzy bronią Madrytu, walczą o sprawy, dla człowieka niezaprzeczalne, poprostu święte. O prawo do życia. O wyzwolenie klasy pracującej. O dach nad głową i chleb dla siebie i swoich rodzin...

J. A kadeci z Toledo?

K. Janczarowie klasy posiadającej! Synowie burżuazji! Upijali się od dziecka lekturą pseudoheroiczną. W Alkazarze znarkotyzował ich mit subordynacji wojskowej i t. zw. honoru. Wpadli w trans, w obłąkanie wojenne... Komunardzi paryscy, tak, to byli herosi. Lwy teraz są w Madrycie.

J. A ci księża i zakonnicy, nieugięci, aż do śmierci męczeńskiej?

K. Konają w szale masochizmu, kolego Wreszcie—tak, rozstrzeliwuje ich milicja ludowa ale to są wyroki śmierci za ukrywanie broni w klasztorach, za czynne sprzyjanie powstańcom. Bo kler nie cofnie się przed niczem, aby tylko zachować swoje feudalne stanowisko.

J. Krótko mówiąc, u przeciwników widzicie same wady, najgorsze zboczenia i zbrodnie, u swoich natomiast nigdy nie możecie dostrzec nic nagannego. Jest to jeden z rysów tego barbarzyństwa komunistycznego, któremu my przeciwstawiamy swoją kulturę.

K. Cóż to jest, ta wasza kultura?

J. Jedną z jej cech jest właśnie szacunek dla człowieka, rycerskie poszanowanie nawet dla przeciwnika, którego się zabija w walce, ochrona i spokojny, ludzki pogrzeb zwłok choćby najnikczemniejszego przestępcy.

Ta postawa szacunku dla człowieka przenika wszędzie, a przynajmniej ma dobrą opinię we wszystkich dziedzinach naszego życia.

Np. teorie naukowe. Mają one swoiste piętno naukowej niepewności. Raz wśród uczonych przeważa ten, drugi raz inny pogląd. To znów świat uniwersytecki dzieli się na różne grupy, przekonywujące się ustalonymi w swej kurtuazji i rzeczowości metodami o słuszności swoich rozbieżnych, lub wręcz przeciwstawnych teorii. Wiedzą ci uczeni dobrze, jaką wartość ma ściśle oznaczone prawdopodobieństwo. I mówią tak: wybrałem tę tezę, bo zarzutów przeciwko niej podniesiono dotychczas mniej, niż przeciwko innym, i że ja łatwiej te zarzuty odpieram.

Zapewne, jeśli będziemy przeglądać główniejsze stanowiska naukowe w ciągu dziejów, albo gdy porównamy współcześnie powstałe osiągnięcia, np. w dziedzinie filozofii — uderzy nas nieskoordynowanie tej nauki, jej antynomie i przeciwieństwa. Rozgałęzia się ona z biegiem czasu i bodaj coraz trudniej będzie historykom usystematyzować sobie jej główne linie. Jeszcze trudniej może byłoby na podstawie wszystkich prądów i kierunków „ostatniej doby" stworzyć jakiś jeden wielki, eklektyczny system naukowy. Ale nauki nikt nigdzie jeszcze nie wymyślił. My wolimy mieć o tej samej rzeczy dziesięć sądów częściowo prawdziwych, niż jeden sąd częściowo prawdziwy. Na statkach mamy zawsze po kilka sekstansów. Moment przerywania taśmy na mecie biegu mierzymy na kilku naraz stoperach. To zmniejsza możliwy błąd. Do ciężko chorego zwołuje się konsylium lekarskie. W sądach w ważniejszych wypadkach wydaje opinie kilku różnostronnych ekspertów.

Daje to może nieraz zjawisko eklektyzmu, błędy „złotego środka", chwianie się linii wypadkowej, niepewność w momentach, wymagających szybkiej decyzji i mocnego działania. Ale chroni od wielu innych poważniejszych błędów. Każdy gatunek pokarmu zawiera części niestrawne, a niektóre ich połączenia są szczególnie szkodliwe dla organizmu. Ale nie wynika z tego, żeby jeść tylko samą cielęcinę, albo same buraki, a pić np. tylko wodę. Bo nie wynaleziono dotychczas jakiegoś uniwersalnego środka odżywczego, któryby wyparł z kuchni i ze stołu dziesiątki jarzyn, mięs, przypraw i owoców.

K. I ta komedia niepewności i omyłek, to sztukowanie poomacku—to ma być kulturą?

J. Zaraz. Kultura — to co innego. To jest tylko nauką. Nieskrępowana myśl twórców i kryków, swobodne seminaria, niezawisłe uniwersytety, dostępne wszystkim—zjazdy naukowe. To jedna ze stron naszej kultury. Oczywiście nie wiele wspólnego z nią ma działalność wolnomularstwa, teroryzującego subtelnemi metodami elitę uczonych w imię swoistej ortodoksji i przesądów.

Przypuśćmy, że my, neotomiści — opanujemy rządy w państwie i wystrzelamy, powiedzmy, naczelnych wrońskistów i logistyków. Co za korzyść dla kultury narodu? Zwolennicy innych poglądów tworzą tajne sekty, a cenzura państwowa wycina z pism skonfiskowane artykuły o metafizyce i przesyła ten materiał prokuratorom... Mogłoby dojść do tego, że niektórzy uczeni przeistoczyliby się w cenzorów i prokuratorów, a nawspak — w prokuraturze mogłyby się pojawić wyklęte i niebezpieczne poglądy naukowe... A gdyby tak jeszcze radykalniej, na sposób już wręcz komunistyczny—wymordować większość inteligencji, a z surowego materiału młodzieży warstw nieoświeconych wyprodukować sobie profesorów filozofii „państwowej"? Nonsens. Produkuje się robotów. Uczeni rodzą się, uczą się sami i tworzą swobodnie, pchani do tego autonomiczną, błogosławioną żądzą prawdy, a nie nakazem policji, czy terorem partii.

To przekonanie odbijało się w ustrojach, wchodziło do konstytucyj, a silniej, niż w duchu praw i w instytucjach publicznych — żyje w duszach, w instynktach, pojęciach i obyczajach—tak

naszego ludu, jak i warstw wykształconych. To jest postulat godności osobistej i złączonej z nią swobody—zwłaszcza w droższych człowiekowi dziedzinach pracy.

K. Ale ta nauka wasza nie poprawia bytu mas pracujących, nie rozstrzyga zagadnień społecznych, nie ułatwia i nie porządkuje współżycia ludzkiego.

Ta nauka nie może stworzyć systemu wychowania. Nie jest zdolna do torowania dróg polityce gospodarczej. Nie oświeca głów waszych rządów... Na co się ona przydaje robotnikom, bez których nie można myśleć — nietylko o kulturze, ale bodaj o biologicznem istnieniu ludzkości. Burżuazja uniwersytecka onanizuje się tą swoją nauką. Robotnik jej nie zrozumie. Nie będzie nigdy korzystał z jej owoców. Wasze dzieła i zjazdy naukowe, tak, jak i wieczory waszej awangardy poetyckiej przypominają Konrada z „Wyzwolenia", szamocącego się w zamkniętym teatrze. Nie przyczynią się one nigdy do wytworzenia jednego więcej bochenka chleba, do ustawienia lepiej jednej cegły na murze.

J. Twórczości naukowej przyświeca tylko ideał prawdy. Nie jakaś widoczna korzyść gospodarcza, nie przewidywane użycie techniczne odkryć i teorii. Tylko bezinteresowne szukanie prawdy może dać pożyteczne wyniki. Marksizm nie rozumie co się dzieje w duszy uczonego. Już jutro nieocenione w technice korzyści dać może ge iusz tych, co dziś zupełnie nie myślą o konsekwencjach „życiowych" swych dociekań. Ich pasjonuje jakieś piękno koncepcji, jakiś, religijnie pociągający absolut prawdy. Poza tem mogą nie liczyć się z nikim i z niczem. Ci, co myślą o zastosowaniach — osiągają wyniki w dziedzinie zastosowań.

To samo—w twórczości artystycznej. Zbytnie liczenie się z upodobaniami odbiorców może zwichnąć i zgasić prawdziwy talent. Kto pisze wiersz na zamówienie, nie paląc się do jego tematu, bez tego roznamiętnienia twórczego, przy którem wkłada się w pracę cały talent — natomiast ze skrupulatnem obmyśleniem, co i jak uwzględnić i opracować, ażeby odpowiedzieć warunkom konkursu i upodobaniom *jury* — ten nie stworzy nic wspaniałego, nic, coby tchnęło pięknem poetyckiem.

Postulatem kultury jest autonomia nauki i sztuki.

K. Klasa robotnicza ma prawo żądać wytłumaczenia się profesorów i artystów, członków instytutów i akademij, dla czego chcą żyć jej kosztem. Ale mniejsza o to. Gorzej, że ten kult swobody wytworzył chaos w gospodarce spółek anonimowych, konsorcjów, trustów i karteli. Macie straszliwy nieład w produkcji i handlu. Dość wspomnieć o słynnem paleniu pszenicy i kawy, o pławieniu nakłutych pomarańcz w morzu. Wystarczy nadmienić o lokautach, zamykaniu kopalń i fabryk, strajkach, żywieniu bezrobotnych na koszt państwa.

J. Nie zawiniła tutaj autonomia tych dwuch wybujałych gałęzi twórczości.

Umiemy określać granice wolności i kierować życiem społecznem.

Jest Kościół, który wychowuje ludzi w dyscyplinie moralnej, tworzy więź społeczną, opartą wspólnym kulcie religijnym, na dobrowolnej organizacji wyznaniowej. Kościół rządzi duszami planowo i jednolicie. Ale nie jest to dyktatura biskupów. To jest dyktatura doktryny katolickiej, opartej na żywocie Istoty prześladowanej, pohańbionej, skazanej na męczeńską śmierć przez władzę świecką.

Jest w życiu rodzinnem i towarzyskiem — obyczaj.

Jest państwo — z konstytucją, prawami i instytucjami, dysponujące siłą i mające prawo stosowania przymusu—jako regulator dążeń, ochrona słabszych, gwarancja niepodległości narodu i bezpieczeństwa jednostki,—co jest warunkiem porządku i spokoju. Państwo — jako forma i kierownictwo gospodarstwa społecznego, jako wychowawca narodu i narzędzie w jego dążeniu do wielkości.

To objęcie wszech dążeń osobowości człowieka i narodu różnorodnemi instytucjami, trwalszemi, niż wiek jednego pokolenia, ta wszechstronność i pełnia, która jest i w jednostkach i w formach ich współżycia — to także cecha naszej kultury.

K. Co powiecie o żebrakach na ulicach, o chłopach na Polesiu, mrących z głodu o milionach bezrobotnych, o różnych „stopniach" badania w komisariatach policji, o ofiarach strajków, o Berezie Kartuskiej.

J. A cóż powiecie o wystrzelaniu i wyrżnięciu inteligencji rosyjskiej, o obławach na bandy zdziczałych dzieci w r. 1925, o systematycznej akcji wyławiania trupów dzieci (r. 1936) z kloak i kanałów miejskich? Jak wam się podoba śmierć z nędzy, katowania i chorób stu tysięcy niewolników przy budowie kanału Bałtyk—Morze Białe? A pięć milionów „kułaków", wyrzuconych z zagród przez Stalina i przepędzonych z Ukrainy—za Ural? A co powiecie o Sołówkach?

K. Robotnik sowiecki pracuje dla rewolucji światowej, po której dopiero nastąpi dobrobyt powszechny, zniesienie armii i kapitalizmu państwowego.

J. Czy jesteście tego pewni?

K. Do tego dążymy.

J. Gdyby nawet kiedyś odbyła się ta rewolucja i gdyby okazało się prawdą to, co po niej przewidujecie, to i tak wszystko to razem nie usprawiedliwia tych nadużyć władzy. To jest skutek systemu, to są konsekwencje materializmu dialektycznego i pogardy dla religii, stąd wyszło, że człowieka traktujecie jak rozczłonkowaną bryłę materii, jak bydlę robocze.

K. Jesteśmy bezlitośni w budowaniu nowego ustroju. Inaczej byśmy nic nie zrobili. Tak, jak nic zrobić nie mogą społeczeństwa burżuazyjne, pozbawione aktywu, myśli konstruktywnej i energii, otumanione mistyką chrześcijańską, osłabione nieprodukcyjną ascezą, hamowane w akcji anty-kapitalistycznej przesądami etyki religijnej, obezwładnione preparatami humanitaryzmu, które wychodzą z lóż masońskich. My zaś budujemy. Proletariat w Sowietach widzi te rzeczy wielkie, które tworzy własnemi rękoma—i dla tego ponosi wielkie ofiary. Zginie każdy, kto podkłada rękę pod oskard i młot, wykuwające ziemski, materialny dobrobyt robotnikom przyszłości. Budowa jest naszym celem ostatecznym, a technika naszą moralnością.

J. My modlimy się tak: Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy...

K. Być może, że religia okólną niejako drogą zmierza do zachowania bytu ludzkiego na ziemi. My do tego samego idziemy drogą prostą. Poco utrzymywać kosztowną a nieprodukcyjną instytucję kościoła? Poco tracić czas na modlitwy o chleb, połączone z roztrząsaniem sumienia? Lepiej ten chleb poprostu produkować. Kleryków i grabarzy zamienić na robotników polnych, na cmentarzach zasiać pszenicę, a zamiast kościołów pobudować młyny i piekarnie.

J. Nie zastąpicie niczem tego poczucia dobra, które w ludziach wytwarzają przeżycia religijne.

K. Czy człowiek po ogrzaniu zziębniętych członków, ubraniu się, najedzeniu—nie jest lepszy?

J. Prawda. Ale czy człowiek po Komunii św. nie jest lepszy?

K. (milczy).

J. Technika... Praca w materiale martwym, który nie czuje, nie myśli, nie krzyczy. Człowiek jest innym materiałem budowlanym niż deska, lub cegła. Nie doceniacie tej różnicy. Dla was sprawa jest zawsze prosta. Jeśli nie jesteście zdolni do przekształcenia duchowego inteligencji—to całą klasę społeczną wycinacie w pień, usuwając mechanicznie przeszkodę. Buntuje się prowincja—wystrzelać. Kułaki nie chcą kołchozu—wysiedlić, rozpędzić, zadławić, niech wyzdychają. Odżywają uczucia religijne — wydać dekret, że Boga niema. Wysuwają się w partii ludzie z innymi poglądami—postawić przed sąd, osądzić, upokorzyć, sponiewierać i zabić. Masy są zgnębione — nakazać entuzjazm i dopilnować, żeby to wykonano.

Ale człowiek nieżywy przestaje być materiałem budownictwa państwowego. Im więcej przedwcześnie nieżywych ludzi zakopuje się do ziemi, tem mniej są żywi ci, którzy jeszcze trzymają łopaty.

U nas kajdany zakłada się tylko zbrodniarzom, a kaftany bezpieczeństwa tylko furiatom.

Środkami policyjnemi można zmniejszać liczbę ludności, można zakazać człowiekowi uzewnętrzniania myśli, zrobić go niemową, kaleką niewolnikiem, doprowadzić go do obłąkania. To się udaje. Ale obcasami policjantów nie można wykrzesać z człowieka ognia entuzjazmu. Żadnym sposobem mechanicznym, żadną groźbą i represją nie wydobędziecie z duszy ludzkiej zapału i ochoty do pracy, nie zmusicie jej do rozwoju sił twórczych, do zaufania i natchnienia.

K. Jeszcze trwa rewolucja. Okres dyktatury proletariatu jeszcze się nie skończył.

J. Nie ma w Sowietach dyktatury proletariatu. I dorasta już tam pokolenie nie obciążone przeszłością, wychowane w nowych zasadach... Ale rząd sowiecki wciąż niema zaufania do swego obywatela.

Zaufanie ma człowiek wolny do człowieka wolnego. Ufać mogą sobie ludzie, którzy się kochają. Ufam tym, którzy mię darzą swobodnem uznaniem, którzy sami z siebie, w istocie samodzielnie, a tylko pod wpływem mego słowa i przykładu—z ducha swego poczęli tę samą ideę, która i mnie ożywia. Ufam swej rodzinie. Ufam tym, którzy tak, jak ja — są z krwi i kości, z ducha i kultury—Polakami.

K. Nie widać tego zaufania w waszych rosnących budżetach policji i wojska.

J. Tak. Wpływ żydów i wpływ Wschodu. Działanie zdegenerowanej, zepsutej i zbrodniczej duszy żydowskiej i działanie bizantyjsko-bolszewickiej, barbarzyńskiej duszy Wschodu...

Teodor Dostojewski we „Wspomnieniach z martwego domu" opisuje dziwne dla Europejczyka zachowanie się więźniów Rosjan. Niejeden z nich, po odsiedzeniu większej części swego więzienia—urządzał jakąś krwawą burdę, popełniał byle jakie ciężkie przestępstwo, bez żadnych zrozumiałych powodów, a tylko dla „odmiany losu". Wiedział dobrze, że za nową zbrodnię karę mu podwoją i obostrzą. Ale pytany na śledztwie i nagabywany poufnie przez towarzyszów, odpowiadał szczerze, że chciał sobie „odmienić los". I nie dziwił zbytnio nikogo ten przejaw ponurej, fatalistycznej desperacji. Ta strona psychiki rosyjskiego ludu ułatwiła rewolucję.

Nasz sposób myślenia jest inny. Abstrakcyjne idee programowe nie pociągają nas tak, jak przykłady historii. Dlatego nie liczymy na całkowitą zmianę psychiki ludzkiej, nie robimy śmiertelnych skoków w nieznane. Szukamy praktyki życiowej, któraby potwierdziła entuzjazm głoszonych haseł. Obserwujemy bacznie, jacy ludzie przystają do komunizmu, jakich ma on kierowników, jakie typy społeczne ta doktryna sobie wychowuje.

Doświadczenia rosyjskie nas nie zachęcają. Powiadacie, że przyszłość pokaże, kto miał rację. Wobec tego czekajmy. Kto będzie żył, zobaczy. Tymczasem ryzykować nie będziemy. Ruch komunistyczny opiera się w znacznej większości na żywiołach Polsce obcych i wrogich, jak żydzi, albo narodowo niezupełnie jeszcze zasymilowanych, jak ludność kresów wschodnich. Nie jest to ruch rodzimy, który bodaj z tego tytułu mógłby budzić zaufanie.

To też, gdy komuniści zapewniają nam narodową autonomię kulturalną w Związku Republik Sowieckich — nie możemy temu wierzyć. Nie możemy—z dwu powodów. Nasza kultura w swych najważniejszych zasadach jest sprzeczna z marksizmem, tak teoretycznym jak i praktycznym. A powtóre—co znaczy frazes o autonomii kulturalnej, skoro chcecie odebrać nam niepodległość polityczną? Gdy Komenda policji w Warszawie będzie podlegać Komendzie głównej w Moskwie, gdy tutaj będziecie mieć własną armię i całkowicie opanujecie nasze życie gospodarcze — jakież pozostaną nam realne gwarancje „autonomii kulturalnej". Postulatem naszej kultury jest ustrój narodowy w państwach narodowych.

K. Rewolucję przeprowadzą masy proletariackie Polski, walczące dosłownie o życie.

J. Nasz ustrój gospodarczy wymaga gruntownej przebudowy. Jakiemikolwiek pójdzie ona drogami, pewne jest, że nasz robotnik przemysłowy i nasz chłop mają w Polsce większe szanse gospodarcze, niżby mieli w Związku Sowieckim. Bo nie będą pracować na cele rewolucji światowej i odrabiać zniszczeń przewrotu.

Zadaniem przyszłego rządu istotnie polskiego w naszem państwie — będzie, nie zaniedbując zabezpieczenia biologicznego rozwoju ludności polskiej, skierować swe wysiłki ku rozpowszechnieniu kultury i stworzyć warunki jej pogłębiania w duszach i na warsztatach jej czołowych twórców.

TADEUSZ DWORAK

KRASIŃSKI W „ZWOLONIE" NORWIDA

1

DO TRUDNIEJSZYCH niewątpliwie utworów Norwida należy „monologia" dramatyczna *Zwolon*. Przekona o tym lektura, przekonać może proste nawet rozejrzenie się po literaturze krytycznej.

Literatury tej przedewszystkim jest uderzająco mało. Kiedy *Krakus*, *Wanda*, *Tyrtej*, *Kleopatra*, nawet niedawno wydany *Pierścień wielkiej damy*, doczekały się osobnych rozpraw, wprost monografii, — *Zwolona* niemal przemilczano; traktuje o nim obszerniej nieco wydawca *Pism zebranych* w przypisach (C, 393 n.), fragmentaryczne uwagi poświęcił mu A. Pospieszalski;[1]) po za tym tu i ówdzie parę słów przygodnych w studiach ogólniejszych, i na tym koniec.

Szczupłość ta nie jest bynajmniej skutkiem (ani dowodem) jasnej jednoznaczności utworu; wręcz przeciwnie. Nawet ci nieliczni komentatorowie, dotykając szczegółów w utworze istotniejszych, różnią się między sobą nierzadko diametralnie. Czyżby więc przyczyna zamilczeń leżała w owej trudności właśnie? Chyba tak. Boć nie w tem przecież, żeby utwór miał być małej ceny artystycznej, żeby sam w sobie nie był wart uwagi. Wart jest zresztą choćby ze względu na poetę, jako ogniwo rozwojowe jego twórczości.

Ale i w tej niewątpliwej niejasności dramatu trzeba rozróżnić. Jużcić, podstawowa w monologii teoria „zwolenia" narodu, zgodzenia się z wolą Bożą, które dopiero prowadzi do prawdziwej i ostatecznej wolności, — jest, a przynajmniej może być mniejwięcej jasna. Jasny więc jest zasadniczy charakter symbolicznego bohatera tytułowego. Co do tego zresztą, mamy autorytatywny, najjaśniejszy komentarz samego poety.[2]) Ale już jeżeli chodzi o wyraz artystyczny tej teorii, o szczytowe wiązanie ideowej konstrukcji dramatu, — tutaj łatwo dostrzeżemy, że między komentatorami zachodzą zasadnicze rozbieżności.

Co mówić o szczytach!... Nawet w rozeznaniu podstawowych, elementarnych szczegółów dramatu niema zgody. Na dowód — jeden, ale wcale wyraźny przykład.

Dla Miriama np. jest sprawą oczywistą, że *Zwolon* to „utwór poświęcony losom i przyszłości narodu" polskiego, że Polski dotyczy i w Polsce się dzieje, Tymczasem, zdaniem Pospieszalskiego, wzmianki o Polsce w tekście dramatu, dowodzą tylko tego, że poeta „myśli ogólne" utworu stosował przedewszystkim do własnej ojczyzny, nie znaczą jednak bynajmniej, by jego „akcja w Polsce się odbywała". Norwid, według tego, unika w *Zwolonie* „umieszczania akcji w któremkolwiek miejscu i w jakiejkolwiek epoce". „Symboliczna akcja utworu ma charakter ogólno-ludzki, może się dziać zawsze i wszędzie". A zatem w Polsce współczesnej czy przyszłej, czy też poza czasem i przestrzenią? Oto kontrowersja.

Jedna z łatwiejszych zresztą do rozstrzygnięcia. Nie może ulegać wątpliwości, że w tym wypadku racja jest przy Miriamie. Nikt nie zaprzeczy wymiarów symbolicznych dramatu, ale jasne jest, że symbol wykwita tu z polskiej ziemi. Dramat, acz fantastyczny, wysnuty z wizji poety, nie jest przecież osadzony poza czasem i przestrzenią. Akcja jego dzieje się współcześnie, a jeśli częściowo w przyszłości, to niepodległej, nie wychodzącej poza wiek XIX. W dialogach mówi się o Dantem, o Kornelu i Rasynie, co więcej nawet o Wł Wężyku, jest mowa o cieszeniu się „gazu wynalazkiem". Jesteśmy więc w epoce późnej, dość wyraźnie zdeterminowanej. Komentatora zwiódł i do długich dociekań: — o stylizacji bajkowej dramatu, kojarzącej jakoby kapryśnie chwilę dzisiejszą z zamierzchłą epoką Słowiańszczyzny, — skłonił szczegół, że w jednej ze scen, przedstawiającej walki uliczne, przy wtórze armat „pędzą na koniach łucznicy". Jeżeli łucznicy — więc to jakieś praczasy. Jest to jednak proste nieporozumienie. Pędzą oni nie z łukami, ale z łuczywem, którymi podpalili zamek.[3]) Jakichś praczasów, a zatem: mieszania epok, niema tu bynajmniej.

Akcja utworu odbywa się najwyraźniej w Polsce, zapewne w Warszawie, nietylko dlatego, że minister królewski nazywa się Bystroff, że buntowników karze się tam knutami i zsyłką na Sybir; są i inne świadectwa. W jednym z monologów *Zwolon* snuje rozważania o orle polskim, o „narodowej sławie od Lecha do Lecha", w innym znów Pacholę sławi język polski, że jest „zwiany z aromatów", i samo właśnie „polszczyzną przedziwną" odbiera ostatnią wolę Zwolona. Nie, nie ulega wątpliwości: *Zwolon* jest dramatem o polskim trudzie wyjarzmienia się z niewoli, a jego postać tytułowa „to jest Polski, dziś z-wolającej się z wolą Bożą, niezadługo z-wolonej a następnie wy-z-wolonej, myśl".[4]) To jest jasne ponad wszelką wątpliwość.

2

Kiedy takie nieporozumienia możliwe są w wykładni spraw elementarnych i oczywistych dramatu, jakżeż daleko musi być do zgody w sprawach wyższych, istotnych, z natury rzeczy bardziej zawiłych. Zanim jednak do nich dojdziemy, wypada wpierw dać krótką informację o samym utworze.

Powstał on, jak świadczy sam poeta w prologu, „przy łunach, które tu i ówdzie błysły", w r. 1848 we Włoszech, ukończony z początkiem roku 1849 w Paryżu, mieście podobnem do „Charona promu", nie tyle więc „na zaraniu" jak czytamy w liście do Lenartowicza, ile na schyłku „ostatniego, europejskiego ruchu", t. zw. „wiosny ludów". Jest on po owych wydarzeniach europejskich jakby epilogową refleksją. Pod świeżem wrażeniem

---

[1]) Pospieszalski A.. Uwagi nad *Zwolonem* Norwida (Ruch Literacki 1933, str. 235 n.).

[2]) Zob. C. Norwid, *Słowo i Literatura - Garść listów*, Warszawa 1936, str. 34.

[3]) Wyjaśnił to przekonywująco mrg. Br. Nycz w nieogłoszonej jeszcze drukiem rozprawie o *Zwolonie*.

[4]) Zob. C. Norwida, *Garść listów*, str. 34.

krótkotrwałych „tu i ówdzie“ tryumfów rewolucyjnych i ostrych następnie represyj despotyzmu, poeta ujął aktualność polityczną w ostry skrót scen dramatycznych, podłożył je pewną koncepcją historiozoficzną i nadał całości wymiary symboliczne, szersze od czasowej doraźności.

W jedenastu krótkich, kalejdoskopowo zmieniających się scenach dramatycznych przewijają się przed oczyma, król wraz z dworem, tłum, spiskowcy, wszystko w gwałtownym, rewolucyjnym zakłębieniu. Pomiędzy, a właściwie ponad całym tym zamętem przesuwa się tajemnicza postać, rodzaj apostoła w płaszczu pielgrzymim, *Zwolon*, człowiek, który „dziwny wpływ wywiera“.

Porwany płomiennymi słowami fanatyka Szołoma i męczennika narodowego Boleja, tłum stolicy z pieśnią na ustach: „Zemsta na wroga! Z Bogiem, a choćby mimo Boga!“ uderza na wojska królewskie i odnosi chwilowy sukces. Nie słucha Zwolona, który pragnie zapobiec walce źle przygotowanej, oczyścić wpierw poryw z szału zemsty i wydobyć z ludu zbożną moc duchową. Jakoż po chwilowym tryumfie lud zostaje rozbity przez zastępy królewskie, poczem wyładowuje rozgoryczenie na Zwolonie, zarzucając mu, że on jest winien klęsce, bo „zniszczył w masach siły“, bo „na słów kilka.... wciągnął całą elektryczność rzeszy“. Król natomiast, zgniótłszy rewolucję, wprowadza ostry kurs reakcyjny, maskując go małoznacznemi ustępstwami natury gospodarczej. Kiedy zaś, dostawszy się w przebraniu między spiskowców, poznał ich rozbicie wewnętrzne i przejrzał małoduszność, z ulgą stwierdził, że „aż mi słodziej deptać tę hołotę“; to też tem bezwzględniej wszelką próbę zmowy i buntu topić będzie w krwi.

Nie zgnębi jednak idei Zwolona. Ten chce zapał patriotyczny oczyścić z pasji zemsty. Dwie te siły bowiem, jego zdaniem, są sobie sprzeczne do tego stopnia, że kiedy jednej (zemście) stanie się zadość, „to drugiej może nie stanie już“; naród, zaślepiony zaciekłością zemsty, może doprowadzić do zatraty ojczyzny. Zwolon pragnie więc zapał do walki oczyścić z „sinej piekieł skry“, a wynik jej uniezależnić od „trafu“ tajnych spisków; walka podjęta być winna .,w zbożny czas“, zbożną bronią religijno-moralnego odrodzenia.

Ideę Zwolona przyjmuje, w pobok mu staje — jedno tylko Pacholę, półsierota, królewski lutnista; ten radby zasłonić Zwolona przed zniewagą i prześladowaniem tłumu, od odchodzącego zaś nazawsze odbiera jakby namaszczenie na duchownego spadkobiercę. Narazie pieśnią tylko żywi on w sobie tę przyjętą ideę, zanim w wezbraniu i spotężnieniu ducha uderzy wreszcie na naród, by go podnieść i porwać za sobą do walki — w zbożny czas. Tak mu nakazał jego anioł opiekuńczy:

Dzieckiem, dzieckiem baw, — a potem
Zewlecz tę dziecinę
I już zaklnij całogrzmotem,
Całożywot zbierz w godzinę,
Zapiorunuj grotem!

Jakoż nadchodzi chwila ponownego buntu. Ukazany w migawkowym skrócie, wypełnia on ostatnią scenę dramatu. Oczyszczony cierpieniem, oburzony okrucieństwami króla, zgromadzony na publiczną egzekucję na jednym z pochwyconych spiskowców, lud znagła uderza na wojsko królewskie i fortece miejskie. Obyło się tym razem bez namiętnej frazeologii Szołoma i Boleja. Znak wyszedł z kądinąd, kto inny przewodzi tłumom. Przodem, na królewskim rumaku, wódz z ducha: Pacholę; za nim „wiele ludu, w krzywe zwianego półkole“. Walka rozgorzała w całej pełni. „Z głowniami znów lecą“ — tymi słowy jednego z widzów zamyka się dramat.

Czy tym razem powstanie będzie zwycięskie, czy też jest to jedna jeszcze nieoględnie podjęta, na klęskę skazana ruchawka? Tutaj właśnie zaczyna się zasadnicza różnica zdań między wykładaczami pisma.

3

Zdaniem Miriama, z dramatu wybrzmiewa przeświadczenie, że losem Zwolona, gladiatora prawdy, może być tu na ziemi w epoce obecnej, „nietylko w zamętach jakichkolwiek, lecz zawsze jednako — w y s a m o t n i e n i e.... w murach obojętności i zapomnienia“; los, jaki zresztą przypadł w udziale samemu poecie. Jest on jednym z pośród *morituri pro veritate*. „Słowo ich — ciągnie komentator dalej — nieme lub rzeczone, niekiedy jeno do jakiejś czystej dziecięcej duszy trafia, której jeszcze nie skalał fałsz zewnętrznego świata, to jest: do d a l e k i e j mówi przyszłości. Tymczasem teraźniejszość brnie dalej w swych tymczasowościach, tymczasem (jak w *Zwolonie*) „z głowniami znów lecą“. A zatem walka w końcowej scenie dramatu miałaby być według tego li „tymczasowością“, nieróżną od poprzedniej, prowadzonej przez Szołoma, ma się więc tak samo jak tamta zakończyć klęską. Naród plącze się nierozwikłanie w tych samych wciąż pętach szaleńczej furii zemsty, obojętny na wezwanie z-wolenia, a apostołów jego odrzuca.

Interpretacji tej, — jak widzimy: pesymistycznej — nie przyjmuje krytyk drugi, Pospieszalski. Jego znów zdaniem finał utworu jest tryumfalny. Walka sceny ostatniej skończy się według tego zwycięstwem, bo „nie jest ona indentyczna z bezbożnym czynem zbuntowanego tłumu ze sceny II; jest poprostu symbolem owego moralnego odrodzenia", do którego wzywał Zwolon, a które najwidoczniej już musiało się dokonać w narodzie, przynajmniej w jakiejś, dostatecznej, garstce duchowej jego elity... Racją dostateczną takiej interpretacji, argumentem za nią decydującym, jest dla krytyka udział Pacholęcia w walce... „Czyż on, dziedzic myśli Zwolona, może brać udział w bezbożnym czynie? Byłoby to niekonsekwencją".

Otóż i różnica zdań,—jak widzimy, — diametralna. A dotyczy ona właśnie sprawy najistotniejszej. Krótko mówiąc, chodzi tu przecież o to, czy *Zwolon* jest utworem podszytym cierpkim sceptyzmem, czy poeta w nim przesuwa moment z-wolenia się, narodu w jakąś odległą i mglistą przyszłość, czy też jest on raczej dramatem „wieszczym“, zapowiadającym ów moment na czas wcale niedaleki, rokującym — przez swój finał tryumfalny — zwycięstwo pierwszej zaraz należycie w duchu przygotowanej rewolucji.

Któraż z tych dwu, tak rozbieżnych interpretacyj jest trafna, t. zn. bliższa intencjl twórcy?

Nie ulega wątpliwości, że ta druga, optymistyczna. Miriam potknął się, przenosząc postawę psychiczną poety, właściwą mu w latach późniejszych, w okresie gorączkowego osamotnienia, na lata wczesne, na zaranie twórczości, na okres młodzieńczego entuzjazmu, niewytrawionego jeszcze zawodami.

Sam tekst utworu nie dopuszcza owej interpretacji sceptycznej epilogu. Trzeba go tylko czytać sumiennie, ważyć każde słowo lapidarnego poety. Do walki w scenie 11 wiedzie rzeczywiście duchowy następca Zwolona, Pacholę, „na królewskim rumaku".

Zwycięstwo przy nim. Zamek królewski został zdobyty i płonie. Król poległ; ktoś z tłumu mówi o nim (boć o nim przecie!) „król-nieboszczyk". Poległ zaś, jak wnosić wolno, z ręki Pacholęcia, na taką bowiem drogę czynu kierował młodocianego lutnistę anioł niewidzialny, któremu na imię Judyt. Dzieło Judyty dokonane, król nie żyje. Okopy w mieście zdobyte, wojsko królewskie w popłochu ucieka, zostawiając za sobą „broni porzuconej snopy". Rozbity więc został ośrodek despotyzmu, wszystko się ma najwyraźniej ku ostatecznemu zwycięstwu Pacholęcia, a bynajmniej nie ku „brnięciu w tymczasowościach". Gladiatorstwo Zwolona nie było wcale „beznadziejne". Niewiele upłynęło czasu od jego odejścia, od przekazania dzieła w młode ręce, a posiew jego wydał plon. Zmartwychwstanie narodu wolnego ma się według tego dokonać bynajmniej nie „gdzieś na wieków później fali", ale w przyszłości nieodległej.

Ten optymistyczny wydźwięk dramatu stoi zresztą w ścisłej harmonii z wierzeniami i poglądami Norwida, wyrażanymi współcześnie w innych jeszcze jego utworach. Przecież to jest rok 1848, rok politycznego entuzjazmu autora *Wigilji*. Wchodził on w ten rok z wiarą w bliskość cudu, w rychłość wielkiej naprawy społecznej. „Tu zaś w Rzymie — pisał z początkiem lutego t. r. — jeśli temu, co się robi nie przerwie jakie barbarzyństwo lub szalbierstwo zewnętrzne, to niezawodnie w bardzo niedługim czasie do konstytucji nawet przyjdzie i to taką mądrością, miarą, estetycznością podwładnych z jednej, a świętością władzy z drugiej strony, iż polityczne usposobienie wieku tymże organem politycznym o egzystencji cudów prawie dotykalnie się przeświadczy". Zapewne przyszło, wmieszało się w wypadki zarówno barbarzyństwo jak i szelbierstwo zewnętrzne i — powściągneło entuzjazm poety. O tyle jednakowoż tylko, że owszem dopuścił on myśl o pokuszeniu szatańskiem, przepowiadał nawet jego kolejność, ale widział zarazem i granice. Wplącze się ono w dzieje, pragnąc w ostatniej choćby chwili opóźnić dopełnienie. Pierwsze pokuszenie przyjdzie, gdy „już zorze jedwabią się z dala", drugie, gdy „już zorza we wstęgi się przędzie" trzecie, gdy „już zda się, że słońce na niebie". Ale na nic będą wszystkie próby, nie uda się szatanowi to zwodzenie ludzkości na manowce:

Jak się Bogu podoba,
Tak jutra osoba, —
A ty, diable, uciekaj przed krzyżem!
Bo tu idzie Widomy
I prowadzi ogromy
I nazowie się Pańskim żołnierzem.

(*Wigilja*, 1848)

A więc Pański żonierz idzie i jest w pobliżu. Odepchnął szatana dziejów. Cóż stąd, że w nową epokę iść mu czasem wypadnie przez krew?

Równo, wolno, — czasem ślisko
Bruki lśnią koralem.
Ależ zato c z y n i e b l i s k o
P a ń s k i e J e r u z a l e m?

(Jeszcze słowo)

Podobnież i czterostrunna *Pieśń społeczna* brzmi wiarą, że czas zwolenia bliski, że wnet

Wielu wstanie nieśmiertelnych
Z szablami jasnemi,

że rychło „udobrucha się głaz", „zakwitną topory" i ponad „czarne chmurzyska" chwili „wyfruniem!..", że „gmach nowy stanie, — dość jest nas". Oto jak mówi wiara poety w utworach współczesnych prawie, bo o parę zaledwie miesięcy wcześniejszych od *Zwolona*.

Tak więc, z którejkolwiek podejść strony, „niejasne pismo" *Zwolona* wykłada się jednako: optymistycznie; zawsze daje świadectwo wierze poety, że zbożne dzieło zwolenia i wyzwolenia, że czyn Zwolona i Pacholęcia urzeczywistni się niezadługo, że niebawem „czasy się rozwcześnią", stanie odrodzonego życia „gmach nowy". Nieporozumienie komentatorów na tym punkcie wypadnie więc raz na zawsze uchylić!

(D. c. n.)

STANISŁAW PIGOŃ

NA WIDOWNI

Kryzys kultury. — Kultura i człowiek. — Kultura jest dziedziną humanizmu. — Kultura i natura. — Humanista i technik. — Zamiast odrodzenia obskurantyzm. — Nie wstydźcie się duszy narodu!

OBIEGA PO WARSZAWIE pogłoska, że kierownikiem i rozdawcą funduszu Kultury ma być mianowany p. Janusz czy Wacław Jędrzejewicz. Ponieważ żyjemy w czasach, kiedy wszystko wydaje się możliwem, więc nawet temu nikt się nie dziwi. Przed paru laty p. Jędrzejewicz planował na wielką skalę system Izb Kultury; w każdem miasteczku miała istnieć mała Izba, w miastach wojewódzkich duża Izba (z portretem np. p. Józefskiego), a w stolicy ogromna Izba, nad którą unosiłaby się, niby strzelista wieżyca, Akademia Literatury. Czemużby Polska nie miała zaopatrzyć się w kulturę od p. Jędrzejewicza, skoro taki łaskaw.

Cały system oświecenia publicznego do tej „rozbudowy” był już przygotowany. Z posiewu szkół ziemia pokryła się runią „wychowania państwowego“; a Związek Nauczycielski Szkół powszechnych stanął murem w pierwszym szeregu pionierów kultury. Zarząd tego Związku sprawuje dziś dyktatorską władzę w sprawach tej kultury, którą p. Jędrzejewicz uplanował.

Obecnie Związek ma już w swoim ręku około 20 czasopism, nadających ton życiu umysłowemu Polski. Rzecz pomyślana w duchu demokratycznym, strzegącym, by nikt się nie chełpił rozumem nad poziomy. Wszystko tedy na miarę półinteligencji.

Czas więc byłby najwyższy, aby i Fundusz Kultury w tej „rozbudowie” znalazł swe miejsce, stylizując się odpowiednio.

— — — — — — — — — — — —

Wogóle pojęcia o kulturze, dzisiaj szerzone, wzięte są z poziomu półinteligentnego. Nic gorszego nie może się przytrafić sprawie kultury. Ileż głębsze są poglądy ludu wiejskiego na kulturę.

Bo cóż jest ostatecznym celem t. zw. kultury (uprawy)? To, żeby człowiek był kulturalny, to znaczy żeby był kompletnym człowiekiem, jak się to mówi: „i do Boga i do ludzi”, wzorowym egzemplarzem swego środowiska, harmonijnie zbudowanym z darów, jakie mu życie dało. Konstrukcja takiego człowieka jest dorobkiem życia wewnętrznego, zużytkowującego o r g a n i c z n i e dary przyrody i losu. Kultura to nie ilość, ale jakość, to nie użytkowość człowieka, ale jego wartość.

Rozwojowi kultury można tylko pomagać i to nie tyle przez specjalne instytucje, któreby jak maszyny produkowały „kulturę”, lecz przez całokształt danego społeczeństwu zespołu środków cywilizacyjnych. Kulturę wytwarzają w człowieku: rodzina, kościół, szkoły, samorząd, instytucje zawodowe i towarzyskie, dalej: tradycje, obyczaje, opinia publiczna, literatura i t. d. Kultura jednostki i całości społeczeństwa rośnie, konsoliduje się, o ile wszystkie te dawki cywilizacji człowiek wchłania trybem p r z e ż y ć, przerabiających nabytki na jego dobro wewnętrzne, harmonijnie w duszy organizowane.

W nabywaniu kultury główną rolę odgrywa p r a c a duchowa jednostki. Niepodobna kultury przypiąć obywatelowi, jak kwiatek do kożucha, albo dawać mu jak lekarstwo, mieszając je z antidotami.

Model człowieka normalnego jest programowy, to nie jest zlepek, lecz konstrukcja z wyraźnemi liniami zasadniczemi, sięgającemi przez cały organizm duchowy do głębin serca. Taki program kultury daje człowiekowi życie społeczne, dobrze zorganizowane w ramach państwa. Najogólniejsze linie są te: człowiek musi w coś wierzyć (religja), do czegoś być przywiązanym (patriotyzm), ufać środowisku, że go nie zmiażdży, musi wreszcie uszanowaną mieć swą godność, jako ten, który obcuje z Bogiem i panem jest swej woli.

To są ważniejsze linie kultury chrześcijańskiej Zachodu. Pierwsza więc rzecz: nie może „rozbudowywać” kultury przedstawiciel innej cywilizacji, albo jakiś wicek-socjalik, który od żyda Marxa wziął na siebie misję przewrócenia tej budowy do góry nogami.

Jakże ma rozumieć kulturę religijną Kulturträger bezbożnik? Jak ma rozumieć patriotyzm jakiś polityk, który dotąd nie jest przekonany, że Polska jest państwem Polaków? Jak ma napoić ufnością system, który nie zrozumiał jeszcze, że prawo nie może działać wstecz, że sąd ma być niezawisły, że obywatel odpowiada tylko za swoje przewiny i to *iure victus*? Jakże obywatel może nabyć kultury społecznej, gdy odsunięty jest od samorządu i wogóle od życia społecznego.

Po co komu kultura, gdy nie tyczy najważniejszych dziedzin rozwoju i twórczości? Sianie maków czerwonych na jałowej glebie — to nie jest kultura. Ludziom półinteligentnym się wydaje, że zbawią człowieka zdziczałego, dając mu do ręki powieść nagrodzoną przez Akademię Literatury, albo wieńcząc go wawrzynem. Ten sam, który potrafi zadrwić z instytucji rodziny i rozdzielić 3000 małżeństw, zawartych przez krzewicieli kultury, ten sam obiecuje społeczeństwu „kulturę”, zakłada Akademię, która w rezultacie musi swemu członkowi wydać świadectwo, że „obniża powagę pisanego słowa”.

Pomyślcie wy naprzód o swojej kulturze, dajcie spokój społeczeństwu. Przecież te wszystkie hasła „kulturalne” są albo niepożądaną propagandą, albo kwestią tylko posad waszych.

— — — — — — — — — — — —

Kulturą jest to, co stanowi o u p r a w i e c z ł o w i e k a. Ponieważ jednostka dochodzi do pełni rozwoju swej osobowości przez udział swój w życiu społeczeństwa i ponieważ stosunek do społeczeństwa decyduje o zasadniczej postawie człowieka cywilizowanego, przeto gospodarka społeczna i państwowa jest najważniejszym czynnikiem kultury. Nic nie pomoże kulturze zakładanie izb, wydziałów czy ministerstw „kultury”, gdy całość ustroju i gospodarki będzie czysto mechaniczna, nie licząca się z d u s z ą społeczeństwa.

Od kwiatków nie można zaczynać. Dajcie człowiekowi dobrze zorganizowane społeczeństwo, a kwiatki on sam sobie zasieje. Kto zrozumie, że kultura nie jest jakimś osobnym bytem, lecz jest zagadnieniem c z ł o w i e k a w społeczeństwie, ten potrafi wyciągnąć z tego założenia wnioski, daleko sięgające w system kierowania sprawami publicznemi. Kierownictwo to jest zadaniem nadewszystko h u m a n i s t y c z n e m. Na jego czele stać muszą ludzie z humanistycznym na świat poglądem i humanistycznem wykształceniem.

Tak zawsze kształcono monarchów i ministrów. Opłakane to czasy, które społeczność historyczną traktują jako ciało nieorganiczne, podat-

ne do mechanistycznych eksperymentów. Wtedy oczywiście dobór kierowników będzie się dokonywał z pominięciem humanistów.

Nie jest to rzecz drobna, zwłaszcza jeśli w grę wchodzą jednostki, nałożone do naukowego traktowania zagadnień według formuły dwa razy dwa jest cztery. Wiemy z doświadczenia potocznego, jak trudno jest porozumieć się w sprawie polityczno-społecznej z technikami, jeśli nie oddawali się przypadkowo studjom nad historią, psychologią i cywilizacją.

Według mnie czasy nadmiernego rozwoju wynalazków technicznych i przemysłu, nie sprzyjają kulturze właściwej (człowieka) wskutek tego, że zmieniają strukturę sfer oświeconych. Obecnie np. wychowanie, wyższe wykształcenie humanistyczne odbiera cząstka zaledwie młodzieży. Politechniki walczą w tym względzie z uniwersytetami, a w uniwersytetach, większość katedr nie ma też związku z humanistyką. Jeśli się do tego doda, że ta inteligencja pędzi żywot w wysilonej nad miarę pracy zarobkowej, specjalizującej zainteresowania i nie pozostawiającej czasu na kształcenie ogólne, łatwo zrozumiemy przyczyny kryzysu kultury.

— — — — — — — — — — — — —

Tak to jest kryzys kultury. Są dwa światy: natury i kultury. Ten drugi świat, przez człowieka stworzony, jest światem duchowym ze wszystkiemi jego imponderabiliami, do których z metodą przyrodnika, technika, nawet logisty przystępować nie można. Rozumiano to już dobrze w Polsce przed 500 laty w okresie Odrodzenia, kiedy to, pomimo rozwoju nauk przyrodniczych i techniki, znalazło się miejsce na świadomy siebie, filozoficzny humanizm, a w polityce miejsce dla Ostroroga i Frycza Modrzewskiego. Dzisiaj zajmowanie się polityką jako wiedzą, wymagającą specjalnych studjów, głębokiego rozumu i talentów (intuicji) nie wydaje się potrzebne. Ludzie tej miary, co Ostroróg lub Modrzewski, stoją poza nawiasem użytku publicznego, są nawet ścigani. Wydaje się bowiem, że skoro sprawy kultury są sprawą człowieka, to sprostać im może każdy człowiek.

A ten niesłychany obskurantyzm przypadł na czasy, wymagające od polityków dużego przygotowania wstępnego co do metody i pojęć ogólnych z dziedziny nauki o człowieku i cywilizacji. Ważą się bowiem losy cywilizacji.

Świat naszej kultury trzeszczy pod naporem dwu działających coraz natarczywiej prądów antyhumanistycznych: żydostwa i marxizmu. Te wrogie nam i sprzymierzone z sobą typy cywilizacji szukają wśród naszej inteligencji i w naszej atmosferze sprzymierzeńca, a jest nim pozbawiony humanistycznych kryteriów, apolityczny w gruncie rzeczy mechanistyczny pogląd na świat.

W tych warunkach niezbędni są u steru ludzie, którzyby zrozumieli, że państwo jest żywą osobowością narodową, zawdzięczającą swoją kulturę duchowym pierwiastkom narodu, że domaga się ono obsługi fachowej ze strony ludzi twórczych, nie wstydzących się swego humanizmu i swej duszy polskiej wobec żydów, marxistów i ich sojuszników.

Pomoc okazywana dzisiaj przez pseudo-polityków polskich t. zw. *„fołks-frontowi"* jest miarą kryzysu naszej kultury.

ZYGMUNT WASILEWSKI.

ŁASY PAŃSTWOWE

UKAZAŁA SIĘ niedawno praca Dr. Tadeusza Bernadzikiewicza p. t. „Dekret o lasach państwowych z dn. 30 września 1936 r." (Warszawa 1937, Tow. Wydawn. Młodych Prawników i Ekonomistów str. 52), poddająca wyczerpującej krytyce Dekret o Lasach Państwowych z dnia 30-go września 1936-go r. Dzieli się ona na trzy działy: Geneza, System, Ocena. Wszystkie te działy, rzeczowo i fachowo przemyślane, dają całokształt możliwych szkód, wypływających z brzmienia i interpretacji tego dekretu, wogóle dla skarbu państwa, w szczególności zaś dla lasów Państwowych. Ponieważ krytyka, a raczej analiza, utrzymana jest w formie ściśle fachowej, przeto nie dla wszystkich czytelników jest zrozumiała, więc uważamy za potrzebne, dodać do niej pewne wyjaśnienia.

W pierwszej części („Geneza") autor omawia, w jaki sposób powstały zasadnicze zręby prawa o Lasach Państwowych, zapoczątkowane dekretem z dnia 28 czerwca 1924 r., ustanawiającym statut przedsiębiorstwa „Polskie Lasy Państwowe". Reformę powyższą uznano jednak za szkodliwą i dekretem z dnia 30 grudnia 1924 r. została ona cofnięta. Dekretami zaś z dnia 22 marca 1928 r. oraz z dnia 3 grudnia 1930 r., dekret 1924 r. został przywrócony, ale uznany już jako korzystny i w znacznie rozszerzonych ramach. Od tego czasu jednocześnie z ewolucją przepisów prawnych w kierunku znaczenia i wzmocnienia stanowiska Dyrekcji naczelnej, znacznym zmianom ulega system samej gospodarki, który to system rozwija przerób całego surowca z lasów Państwowych na własnych tartakach.

Ta akcja uprzemysłowienia gospodarstwa lasów Państwowych w wynikach swoich dała ujemne rezultaty, które zwróciły uwagę Najwyższej Izby Kontroli Państwa, opinii społecznej i Izb Ustawodawczych. Skutkiem tego wyłonił się projekt wyodrębnienia zakładów przemysłowych z administracji Lasów Państwowych i oparcia działalności tych ostatnich na zasadach ogólno-handlowych. Projekt ten jednak nie trafił do przekonania Ministerstwu Rolnictwa, pomimo, że N. I. K. P., opinja społeczna przez prasę i Sejm od szeregu lat wytrwale wskazują na deficytowy przerób drewna z Lasów Państwowych we własnym zarządzie i na własnych tartakach. Następnie autor wskazuje na dalszą emancypację Lasów Państwowych w dziedzinie rachunkowości i kontroli. Okazało się, iż w okresie od 1-go października 1936 r. do 31 marca 1937 r. Lasy Państwowe gospodarować będą bez zatwierdzonego przez Sejm i Senat budżetu. Dekret z dnia 30 września 1936 r. wyłączył plan finansowo-gospodarczy Lasów z pod kontroli Izb Ustawodawczych, przyznając jego uchwalenie Radzie Ministrów.

W drugim dziale („System") autor wyjaśnia znaczenie sześciu działów wrześniowego Dekretu, między innemi wskazuje, że dekret unika określenia „Przedsiębiorstwo" natomiast tworzy termin „Państwowe Gospodarstwo Leśne" czyli że unikając terminu „Przedsiębiorstwo" a więc i podporządkowane tem samem wynikające z niego czynności podporządkowuje ógólnemu pojęciu „Gospodarstwo Leśne".

Dalej autor wskazuje na bardzo ciekawy

przepis art. 4, o zachowaniu i ochronie lasów. Treścią tego artykułu jest teza, iż ogólna powierzchnia leśnego gospodarstwa Państwowego nie może ulegać zmniejszeniu. W tym celu Lasy Państwowe będą nabywać prywatne lasy i grunta leśne, a także grunta nie leśne, których zalesienia wymaga interes Państwa. Jednocześnie art. 22 dekretu przewiduje utworzenie funduszu uzupełnienia stanu posiadania Lasów Państwowych, na który składać się będą wpływy ze zbycia poszczególnych gruntów leśnych, a także wpływy ze zbycia drzewostanów przy przekazywaniu obszarów leśnych na cele publiczne bez odszkodowania. Czyli, że mogą być używane przestrzenie z drzewostanami, a nabywane nie zalesione. Przez to obszar lasów Państwowych zostanie utrzymany, natomiast ogólny stan zalesienia ulegnie zmianie. Omawiając artykuły 10 — 15 autor wskazuje na dziwną zawiłość tych artykułów, dopuszczającą wszelką interpretację takowych i kładzie nacisk na ustęp. 2 art. II, w którym to ustępie Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych określa warunki i ograniczenia dotyczące czasu, miejsca i sposobu użytkowania. Czynności te dotąd objęte były instrukcją urządzeniową, regulującą zasady urządzenia Państwowego gospodarstwa leśnego.

Clou art. 14 stanowi aprobata dla najbardziej spornego zagadnienia gospodarki lasów państwowych, jakim jest przerób drewna we własnych zakładach przemysłowych i stała rozbudowa tych zakładów. Po dokładnem rozpatrzeniu artykułu 14-go, autor podkreśla, że zakłady przemysłowe lasów nie były należycie wyodrębnione z ogólnej administracji leśnej pod względem rachunkowym, finansowym i korzystały z licznych przywilejów, jakiemi są: podatkowe, kredytowe, a przedewszystkim z ulgowej dostawy drewna z lasów państwowych do państwowych tartaków po cenach niższych nawet od tak zwanego cennika minimalnego, które często *ex post* dostosowywane były do sytuacji tartaków. W rezultacie istotny stan rzeczy w tartakach był zaciemniany, a wyniki w bilansach lasów okazały się całkowicie fikcyjne.

Powyższe stale stwierdzała N. I. K. P. I tak w roku 1933/34 wykazana obniżka sięgała 3.000.000 złotych. W stosunku do cen rynkowych obniżka cen drewna przekazanego do przerobu była jeszcze większa. N. I. K. P. przytacza dwa przykłady: W Dyrekcji Białowieskiej zaliczono tartakom sosnę po 10,50 zł. i świerk po 8,55 zł. za metr sześcienny *loco* tartak, co wyniosło *loco* las za sosnę 4,72 i za świerk 2,77 zł. Natomiast przy sprzedaży hurtowej drewna użytkowego nabywcom prywatnym Dyrekcja w tym samym roku gospodarczym uzyskała za 70.907 metrów sześciennych sosny przeciętnie 16,32 zł. a za 14.684 metr. sześc. świerka po 13,34 zł. za metr sześc. *loco* las. Drugi przykład. N. I. K. P. przytacza: w Dyrekcji Lwowskiej, w której tartak w Broszniowie otrzymał 65.684 metr. sześc. surowca z zaliczeniem mu po 9 zł. *loco* tartak, co *loco* las na pniu kalkulowało się po 1,17 zł. za metr sześc., gdy taksa minimalna wynosiła przeciętnie 7,43 zł za metr sześć. To są tylko dwa przykłady, przy których Skarb Państwa poniósł tak wielkie straty, a przecież gospodarka lasów Państwowych przerabia w podobny sposób we wszystkich Dyrekcjach nie 151.291 metr. sześc., na które wskazała N. I. K. P. w dwuch przykładach, a kilka milionów drewna użytkowego. Po tych przykładach wydawałoby się, że zdanie N. I. K. P. o całkowitem wyodrębnieniu tak rachunkowem jak i administracyjnem zakładów przemysłowych od ścisłego gospodarstwa leśnego, zasługuje na całkowitą aprobatę.

Niestety, dekret o lasach państwowych poszedł w innym kierunku. W dalszej swej szczegółowej analizie dekretu, autor wskazuje na specyficzną rachunkowość, na nieustalenie dekretem w jakim terminie ma być dokonane pierwsze oszacowanie majątku oraz sporządzony bilans otwarcia. Ciekawe postanowienie art. 20, określające, że plan finansowo-gospodarczy lasów nie będzie uchwalony przez Sejm, a będzie zatwierdzony przez Radę Ministrów, czyli że plan finansowo-gospodarczy państwowego gospodarstwa leśnego będzie obowiązywał w brzmieniu zaprojektowanem lub dostosowanem przez Dyrekcję Naczelną Lasów Państwowych do jej kalkulacji specjalnych.

Znaczenie tej ustawy całkowicie pozbawia Izby możności przeprowadzenia kontroli rozmiarów użytkowania. Izby ustawodawcze zostały pozbawione jakiegokolwiek wpływu na ustalenie rozmiarów użytkowania w lasach państwowych, nawet przy prowadzeniu dowolnej eksploatacji kosztem substancji leśnej. W rezultacie omawianych wyżej postanowień Izbom Ustawodawczym zostawiono przyjemność obradowania nad planem finansowo-gospodarczym lasów bez prawa powzięcia w sprawie tego planu żadnej uchwały, któraby zmieniała poszczególne pozycje „załatwionego" już przez Komitet Ministrów załącznika do preliminarza budżetowego. A więc prawie całkowite skreślenie kontroli nad gospodarstwem lasów Państwowych.

STANISŁAW ZANIEWSKI

NAUKA i LITERATURA

MONOGRAFIA O ST. KRZEMIŃSKIM

W SERJI „Rozpraw i materiałów Tow. Przyjaciół nauk w Wilnie" (t. VII zesz 1) ukazał się pokaźny tom, obejmujący monografię: „Stanisław Krzemiński — człowiek i pisarz" (str. 323 z portretami, Wilno 1937). Autorem monografii jest prof. historii literatury uniw. wileńskiego, Konrad Górski.

Nabytek dla dziejów literatury polskiej, a zwłaszcza dla dziejów Warszawy literackiej popowstaniowej — niespodziany a bardzo cenny. Mówimy: niespodziany, bo właśnie monografii człowieka, który zwykle chował się w cień kryptonimu, większych dzieł nie wydawał i w życiu towarzyskiem na front się nie wysuwał,—najmniej można się było spodziewać; zwłaszcza, że tylu innych z jego epoki głośniejszych i bardziej w literaturze zasłużonych żadnej książki o sobie dotąd nie mają. Wystarczy wymienić Chmielowskiego, Swiętochowskiego, Ochorowicza.

Tem większy był wysiłek historyka prof. Górskiego, wydobyć bowiem musiał postać Krzemińskiego jakby z niebytu, odtworzyć ją z okruchów, z pracowicie zebranej korespondencji, z wertowanych roczników czasopism, odnajdując ślady Krzemińskiego według kryptonimów, których klucz posiadł. Dość powiedzieć, że Górski ułożył sam bibliografię pism Krzemińskiego, w której wymienił 786 pozycyj. Ludzie mu współcześni nie mieli pojęcia, że ten człowiek tyle napisał.

Poczynał jako poeta jeszcze w latach 1863/64. Entuzjastą był, zapaleńcem. Wziął udział w powstaniu jako młodzieniec 24-letni. Odegrał tam pewną rolę, jako siła intelektualno-uczuciowa powstania. Był nawet członkiem Rzą-

du Narodowego, co go zbliżyło do Traugutta. Spalił się w tym ogniu człowiek polityczny. Obecny był podczas tracenia Traugutta i z tem widmem w oczach poszedł w świat literacki Warszawy.

Po odbytych studiach prawniczych w Szkole Głównej wziął się dla zarobku do pióra. Zaprzyjaźniony z domem Ilnickich, wstąpił do redakcji „Bluszczu", gdzie Maria Ilnicka była redaktorką. Owa bibliografia 786 nrów licząca, zaczyna się w r. 1870 i ciągnie się do r. 1912, kiedy umarł.

Studjum prof. Górskiego jest ważnym przyczynkiem do dziejów drugiej połowy wieku XIX. Autor pod koniec dzieła zapytuje sam siebie, czy praca jego warta była tak wielkiego zachodu. Zdaje sobie bowiem sprawę, że twórczość Krzemińskiego sama przez się nie wnosi do literatury wartości niezastąpionych. Zapewne, ale prof. Górski, biorąc niejako za pretekst postać Krzemińskiego, przeorał szmat epoki, dobywając na skiby swej książki wiele źródłowego materiału.

Dzieło Górskiego ma wartość i będzie bardzo pożyteczne dla każdego, kto tę epokę popowstaniową w literaturze warszawskiej będzie chciał poznać. Doskonała metoda pracy i wielka skrzętność i dokładność są niemałą zaletą tej wzorowej monografii.

Do książki tej wypadnie nam wrócić, warto bowiem bliżej się przyjrzeć postaci Krzemińskiego.

W.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Teodora Drzewiecka. „Drugi mąż". Powieść Warszawa 1937. F. Hoesick.

Powieść ta z życia towarzyskiego, lekko sentymentalna, z dyskretną tendencją moralną i naiwną intrygą, przypomina typ powieści angielskich. Skomponowana jest poprawnie, z akcją ruchliwą i zajmującą, przyczem znamionują ją cechy dziwnie charakterystyczne. Oto osoby powieści, z wyraźnie określonem tłem, są niejako beznarodowe.

Rzecz dzieje się wśród kolonii polskiej w Petersburgu w czasie przed wielką wojną. Osoby powieści to Polacy, raczej formalnie, z urodzenia, nazwiska i mowy. Autorka. zna i plastycznie, trafnie, przedstawia uroki beztroskiego życia sfer zamożnych. Życie salonu, wybredne restauracje, wycieczki za miasto, uganianie się za przyjemnościami, swoboda namiętności, wszystko to, co chwilowo może wypełnić głód życia fizycznego, stłumiło, wyprało chemicznie, w tych ludziach uczucia narodowe, czego jednak autorka zupełnie nie podkreśla. Tak jak jest, widać, że dobrze, miło, było Polakom w Petersburgu. Zarabiali, romansowali, czegóż więcej życzyć?

Powieść, jak na końcu książki, w przypisku nadmieniono, napisana została w Londynie. Nie wiadomo więc, czy z tej odległości autorka nie dostrzegła w swych Polakach wibracji ich uczuć narodowych, czy też, co równie jest prawdopodobne, uczuć tych, zdawałoby się, najistotniejszych, na dalekiej obczyźnie w sadle dobrobytu się wyzbyli.

(A. W.)

*

Witold Hulewicz. „Gniazdo Żelaznego Wilka". Warszawa 1937. Książnica-Atlas.

Poeta, autor wierszy o Wilnie pod tyt. „Miasto pod chmurami", w tej opowieści prozą ukazuje Wilno podczas pogadanki z czytelnikiem na przechadzce. Patrzy oczyma malarza i historyka, i obraz obecnej postaci miasta łączy ze wspomnieniami o przeszłości. Daje wizję miasta dziś i niegdyś.

Liczne ilustracje Ostrej Bramy, kościołów, bazyliki, uniwersytetu, rzeki Wilji pod Karolinkami, okolicznych i dalszych krajobrazów z pałacem w Werkach i ruinami zamku trockiego dopełniają wrażenia. W książce o tem jednem mieście jest, rzec można, wiele. Wilno pogańskie i legendarne, następnie w epoce królów, Wilno poetów romantycznych, w rozwoju upadku i niewoli, i wreszcie po ostatecznem zwycięstwie, odrodzenie do nowego życia.

Podobnie jak Bułhak fotografią, tak Hulewicz barwą i temperaturą słowa, bez literackiej afektacji, umiał wydobyć i narzucić czytelnikowi sentyment, czar, piękna żywego, a i minionego, jak naprzykład na kartach, na których mówi o nieistniejących już dziś monumentalnych pałacach magnackich, i drewnianych, sielskich „dworkach antokolskich". (A. W.)

*

W imię zasady „hołd przyjaźni" aeropag Pen-Clubu odznaczył niedawno nagrodą za najlepszy przekład „z trzech lat ostatnich" tłumaczenie „Odyssei" dokonane przez Józefa Wittlina... w r. 1924. Że tam trochę z arytmetyką było nie w porządku, to nie wzruszyło bynajmniej tych, którzy nagrodę wyznaczyli. Nie wzruszyło ich i to, że przekład ten w znacznej części dokonany był osobliwą polszczyzną, niezupełnie zrozumiałą dla normalnego Polaka, tak iż gwoli zrozumienia należało go przetłumaczyć raz jeszcze. Natomiast wzruszeni byli tem, że Wittlin jest kolegą szkolnym jednego z nich, i że mają prawo mówić mu po imieniu.

W r. 1924 widocznie naprawdę „zmartwychwstał Homer" (że użyjemy ówczesnego wyrażenia prof. Sinki), skoro miały się w nim pojawić aż trzy polskie przekłady „Odyssei". Prócz „zrewidowanego" przez Sinkę starego a dobrego przekładu Siemieńskiego („Biblioteka narodowa") gotów był wówczas do druku trzeci jeszcze przekład, znany już poprzednio z wyjątków, ogłoszonych w „Astrei" oraz w antologiach Langego.

Twórcą tego przekładu był Stanisław Mleczko, znany już oddawna jako tłumacz „Iliady" oraz autor słynnej rozprawy „serce a heksametr". Gdy miano rozpocząć druk jego „Odyssei", nabytej przez jedną z firm księgarskich w Warszawie, naraz cały rękopis przekładu, owoc długoletniej pracy, zniknął bez śladu i nie odnalazł się po dziś dzień. Niezrażony tą stratą sędziwy tłumacz wziął się ponownie do pracy i mimo wszelkich przeszkód i trudności ukończył ją w ciągu lat kilku. Przekład ten ukazał się niedawno (nakł. Ultima Thule), opatrzony niezbyt potrzebną przedmową wydawcy, S. F. Michalskiego, zawierającą polemiczne utarczki z prof. Sinką oraz dygresje na temat „Ramajany". Zamiast niej raczej byśmy chętnie przeczytali uwagi samego tłumacza bądź o Homerze i tle jego poematu, bądź o dziejach heksametru, któreby dla ogółu czytelników były pożyteczną informacją.

Heksametr Mleczki jest płynny i potoczysty, albowiem tłumacz unika zarówno rozwiewów, jak chropowatego zbiegu spółgłosek. Język jest jasny i przemyślany; gdzieniegdzie tylko rażą pewne wyrażenia zbyt śmiałe, które zresztą w *„erracie"* tłumacz często pozmieniał na prostsze i bardziej trafne.

W drugiem wydaniu, przeznaczonem dla młodzieży, tłumacz zapewne pójdzie jeszcze bardziej w kierunku uproszczenia języka i stylu. Ale i teraz przekład jego nie męczy ani ucha ani myśli.

Ilustracje są tandetne i niegustowne. A przecież tylu było dobrych ilustratorów „Odyssei": Preller, Böcklin etc.

(J. B.)

*

Mark Twain. „Yankes na dworze króla Artura". W-wa 1936. Tow. wyd. „Rój".

Fantazja społeczna, tem różniąca się od istniejących szablonów, że przenosząca nas nie w przyszłość, ale w zamierzchłe średniowiecze.

Trafnie uchwycony konwenans obyczajowy, wyrażający się we wszechwładnej opinii, a zmieniający do niepoznaki psychikę członka danego społeczeństwa na przestrzeni lat kilkuset.

Książka grubo podszyta tendencją: gwałtownym wypadem w stronę Kościoła rzymskiego i hymnem na cześć nowoczesnej techniki. (ST. J.)

KAROL SERINI W artykule „Wolnomularz ujawniony" (ob. nr. 5 „Myśli Narodowej") autor zaznaczył, że nie jest pewien, czy istniał rzeczywiście prof. Karol Serini, pod którego nazwiskiem w r. 1933 wyszła w Warszawie broszura „Symbol w wolnomularstwie".

Teraz dopiero poinformowano go z kilku stron, że prof. Karol Serini istniał naprawdę; znany był w sferach uniwersyteckich Warszawy, był bowiem na uniwersytecie profesorem teologji protestanckiej. Umarł przed kilku laty. Był to człowiek światły, z dobrem wykształceniem filozoficznem, które nabył na studjach w Jenie. Cieszył się sympatją tych, którzy go bliżej poznać mogli.

Informacja, którą tu podajemy, wzmacnia autorytet broszury i poczynionych tam rewelacyj.

DYSKUSJE

BYŁ PUSZKIN I JEST PUSZKIN

Z Rosji sowieckiej nadeszły dwie wiadomości. Jedna mówi o zakończeniu drugiego procesu z serii tych co to miały wykryć winnych zdrady stanu, jednem słowem — trockistów. Poprzednio poszedł na ofiarę Zinowiew z Kamieniewem. Dzisiaj Piatiakow, Arnold, Sokolnikow, Serebriakow no i Radek. Sam Radek! Wszystko było wyreżyserowane jaknajlepiej. Opinia publiczna, tak zwykle nieśmiała, tym razem podniosła głos, domagając się od zespołu sądzącego bezwzględności, kary najsroższej — śmierci. Żądała podtrzymania tradycji czerwonego terroru, który kiedyś przy końcu 1918-go roku wydobył Rosję z anarchii walk na stu frontach. Żądania (PAT donosi) postawiło m. in. i dziewiętnastu uczonych z prezesem Akademii Nauk na czele, oraz czterdziestu trzech najbardziej znanych plastyków... Radek i towarzysze podobnie jak Kamieniew i towarzysze, przed wyrokiem dokonali generalnego pokajania się i samooplwania. Towarzysz Stalin również oplwał, ale rewolucję październikową i jej historię. Zdyscyplinowany, mocny, imponujący niegdyś zespół okazał się ni mniej ni więcej tylko zbiorowiskiem marnych charakterów, słabych ludzi. Towarzysz Stalin zrobił zamach na mit własnych wspomnień, wspomnień całego Związku Sowieckiego. To nie byli szaleńcy, fanatycy idei, ale dranie, dranie. Tak poprostu, bez żadnych osłonek. Bo i pomyśleć tylko — iść na służbę faszystowską!... Nie do wiary.

Druga wiadomość mówi, że w Leningradzie i jeszcze paru miejscowościach wznoszą obecnie pomniki Puszkinowi. Że we wszystkich językach sowieckiej Rosji, a również wszystkich znanych językach świata będą wydane jego dzieła w imponującym nakładzie 13.400.000 egzemplarzy. To się dopiero naprawdę nazywa „pod strzechy."

Dziwne koleje losu. Majakowski i Marienhof i Jesienin i inni wyśmiewali się przedewszyskiem z Puszkina. Wyśmiewanie się owo było równie programowem hasłem, jak żądanie kolektywów fabrycznych, czy walki z kułactwem. Dzisiaj stara gwardia *„pod stienku"*, Puszkinowi pomniki i chwała.

Oczywiście jest to zbieg okoliczności, że właśnie rocznica i proces wypadły w jednym czasie, ale nie przypadkowemi są motywy procesu, oraz propaganda (użyjmy tego wyrazu) puszkinowej twórczości. W gruncie rzeczy rozstrzelano, czy zamknięto w więzieniu tych, co to byli przeszkodą na drodze naturalnej i zrozumiałej, wiodącej do nacjonalizowania się Z.S.S.R., czego przejawem jest wybuch dumy narodowej z powodu posiadania na kartach swojej literatury takiego nazwiska, jak autor „Eugieniusza Onegina." Nic to że szlachcic i członek warstwy urzędniczej wystrzelanej później „dokumentnie" w roku 1917-ym, 1918-ym i następnych Nic to. Chwała narodowi rosyjskiemu. Narodowi pierwszemu ze wszystkich. Przetwarzającemu szóstą część globu a instruującemu (z mniejszym lub większym powodzeniem...) świat cały.

Narodowi pierwszemu ze wszystkich!...

Owo poczucie własnej wyższości, doprowadzone aż do absurdu jest największą, nieoczekiwaną zdobyczą wysiłków nowego ustroju.

Piotr Pierwszy wstydził się barbarii moskiewskiej i kazał zapitym, zawszonym, zabiedzonym moskalom patrzeć zazdrośnie na schludnych Niemców. Zaszczepił w pień rosyjskiej dziczki cywilizację europejską. Lud szemrał, płakał, zawodził, ale golił brody, przymierzał peruki i naciągał pończochy na niezgrabne nogi. I od Piotra począwszy naśladowano aż po końcowe lata Wielkiej Wojny.

Puszkin. Może nikt bardziej od Puszkina nie był lepszem wydaniem Rosjanina skrojonego na modłę europejską. Patrzcie — a toż wcale od Polaków, Niemców czy Francuzów nie gorszy! Ta sama kultura, te maniery. Ach, jest się kim pochwalić! I w chwaleniu się postacią genialnego poety był aż do dni ostatnich przykry osad kompleksu niższości. Owo nieznośne: „I my też." Dzisiaj niema już tego ani za kopiejkę. Duma, duma, sama duma.

Przypominam sobie tołstojowego żołnierza niemieckiego, tego co to jadąc koleją (w „Siostrach") z Rostowa mówił tak oto do Kati Roszczinowej: „Dawniej gardziliśmy Rosjanami. Teraz zaczynamy, podziwiać Rosjan a nawet szanować ich..." Aleksy Tołstoj Niemcowi kazał powiedzieć to co czuł. Wymierzał sobie satysfakcję. Duma, duma, sama duma.

I nie dziwię się mu, że chociaż nacjonalista i hrabia, jednak komunista najszczerszy. Wdzięczniejszy i słusznie był tym, co to wydali nakaz czerwonego terroru, kładącego kres anarchii, aniżeli białogwardyjskim liberałom, którzy Rosję w odmęt tej anarchii pchnęli, niszcząc wszelkie moralne rygory w momencie wojny, wrogiej ofensywy.

Niezapomniana jest scena końcowa pierwszej części jego trylogii „Droga przez mękę", gdy istotnie wspaniały człowiek Wadim Piotrowicz Roszczin, patriota na miarę wielkiego serca i kultury mówi:

„...wielka Rosja przestała istnieć z chwilą kiedy naród rzucił broń... Dlaczego pan nie chce tego zrozumieć, że już się zaczęło... Wielka Rosja — teraz nawóz pod orkę... Wszystko trzeba budować odnowa: wojsko, państwo, nową duszę trzeba w nas wcisnąć..."

I nic dziwnego, że inny bohater trylogii Tielegin, po tych słowach nie mógł usnąć, aż nie znalazł cytatu dającego obraz zniszczonej przed trzystu laty ojczyzny, kiedy to „...polscy najeźdzcy przeszli ogniem i mieczem przez całą ziemię Rosyjską", polscy najeźdzcy będący jednym z nieszczęść tołstojowego narodu. A wówczas chłopy rosyjskie zdziczałe i wynędzniałe przyjęły nowego cara — dziecinę, który „...umiał tylko płakać i modlić się". I oto mówi Tielegin, mówi z wiarą jakąś najgłębszą, prawie, że z entuzjazmem:

„ — Widzisz — Teraz też nie zginiemy... Wielka Rosja zginęła! A oto wnuki tych samych obdartych chłopów, którzy chodzili z drągami ratować Moskwę z opresji — pobili Karola Dwunastego, zapędzili Tatarów za Pierekop, Litwę ujęli w garść i w łapciach chodzili już po brzegu oceanu Spokojnego... A wnuk tego chłopca, którego gwałtem przewieziono do Moskwy, zbudował Petersburg... Wielka Rosja zginęła!... Niech nam jeden powiat zostanie, — ziemia Rosyjska stamtąd się zacznie..."

Tielegin został czerwonym oficerem. A o Aleksym Tołstoju mówią powszechnie: *„graf — perekińczyk"*. Czy słusznie?

— — — — — — — — — — — —

Wniosek: Rosja idzie wzwyż. Wzmacnia się wolą, konstrukcji. Urabia na nowo surowiec — wiecznie jednak... ten sam. Dusza rosyjska z kultem prawosławnego obrządku nie była zdrowa, gniła, gniła, aż się stała zwykłym tylko nawozem zdatnym pod orkę. Dusza rosyjska pozbawiona zupełnie religijnego kultu pocznie gnić jeszcze wcześniej. Tymczasem jednak jest u początku, rośnie, przeżywa swą wiosnę której pierwiosnkiem (wybaczcie owe, przyznaję, nieco za liryczne porównania...) jest chociażby rehabilitacja Puszkina i rozpryśnięty na ścianie czerezwyczajki doktrynerski mózg fanatycznych entuzjastów utopienia narodu w anominowej, światowej społeczności. Czy nowy rok życia rosyjskiego, na wiosnę którego patrzymy, potrwa lat trzysta, jak rok dynastii Romanowych — nie wiadomo. Sądzę, że krócej. Powód powiedziałem już wyżej: szybszy rozkład chorej w zasadzie duszy, pozbawionej rygoru kultu religijnego.

Należy nam tedy pilnie obserwować i myśleć kategoriami w skali wieków...

JAN BAJKOWSKI

POKŁOSIE

EKONOMIA NAWYWRÓT

PRZED paru laty „Myśl Narodowa" omawiała dość obszernie paradoksalne stosunki w naszym przemyśle cukrowniczym, kiedy cała produkcja cukrowni dzieliła się na dwie prawie równe części i jedna z nich wywożona była zagranicę po cenie bardzo niskiej, druga zaś spożywana w kraju, przyczem cena krajowa w pewnym momencie przenosiła sześciokrotnie cenę, uzyskaną z eksportu.

Od tego czasu stosunki w cukrownictmie zmieniły się, wycofaliśmy się prawie całkowicie z deficytowego eksportu, ceny na rynku wewnętrznym obniżono do poziomu, zbliżonego do jakiejś zrozumiałej normy, spożycie cukru wskutek tego wzrasta i cała sprawa nabiera jakiegoś sensu gospodarczego. Ale zasada deficytowych eksportów nie została bynajmniej porzucona w innych działach przemysłu, a ostatnio dyskusja w komisji budżetowej sejmu ujawniła rekordowy, jak się zdaje, wyczyn tego rodzaju, dokonywany w dodatku przez monopol państwowy, mianowicie monopol solny.

Okazuje się, że wywozimy około 19 tysięcy ton soli i według preliminarza mamy za tę ilość otrzymać 325 tysięcy złotych. A w tej kwocie wywozu jest 8 tysięcy ton soli kamiennej, białej, mielonej, liczonej po 10 złotych za tonę, podczas gdy cena tej samej soli dla konsumenta krajowego po dodaniu opakowania wynosi 320 złotych za tonę, jest więc 32 razy wyższa.

Można śmiało ofiarować honorową „topkę" soli temu matematykowi gospodarczemu, który potrafiłby wykazać jakiś sens w tej transakcji. Suma 325 tysięcy złotych, jaką uzyskujemy z wywozu jest w całości naszego handlu zagranicznego, oscylującego nawet w latach kryzysowych około miliarda złotych rocznie w przywozie, a więc w zapotrzebowaniu dewiz — ta suma 325 tysięcy jest mniej niż groszowa i żadnej przecież roli odegrać nie może. Soli jadalnej wyprodukowaliśmy w r. 1935 okrągło 272 tysiące ton, więc te 8 tysięcy ton soli, wywożonej zagranicę prawie za darmo, nie może również zaważyć na kosztach własnych produkcji, jak to się przytacza zawsze na usprawiedliwienie deficytowych eksportów w innych gałęziach przemysłu. Po cóż więc cały ten interes eksportowy? Te 8 tysięcy ton podzielone przez ludność Polski daje ćwierć kilo na głowę, ilość o którą spożycie z największą łatwością wzrośnie w kraju, którego ludność narzeka na drożyznę soli i niemożliwość zaspokojenia potrzeb zarówno ludzi, jak inwentarza. Czyż więc nie lepiej byłoby obniżyć nieco cenę wewnętrzną i podnieść spożycie więcej, niż o te mizerne 8 tysięcy ton, rzucane zagranicę za bezcen? Jak dalece ważny jest ten wywóz najlepiej widać z tego, że popularny „Mały rocznik statystyczny" wcale go nawet nie wymienia w swych rubrykach. Nie wiemy więc dokładnie dokąd ten wywóz się kieruje i jakie narody korzystają ze światowej polityki naszego monopolu. W jednem z pism francuskich można było niedawno czytać o wyprawach po sól, jakie corocznie z wielkim niebezpieczeństwem przedsiębiorą karawany w koloniach francuskich z okolic Timbuktu w głąb Sahary. Podano tam, że ta z trudem zdobywana sól jest szara, zanieczyszczona i droga, a mimo to krajowcy nie chcą kupować i używać lepszej, białej i tańszej soli „z Wieliczki", gdyż ta sól pustynna ma dla nich niejako obrzędowy, magiczny charakter. Więc nawet nie uszczęśliwiamy swym eksportem poczciwych murzynów z nad Nigru.

Ten wywóz soli jest oczywiście drobnostką, może być w każdej chwili skasowany i przestanie być pozycją kompromitującą. Ale mamy wiele jeszcze takich działów eksportu, bardzo poważnych, że tylko wspomnimy węgiel, naftę, które poważnie ciążą na naszym gospodarstwie i wypaczają jego zdrowy sens. Kiedy nareszcie i w tamtych dziedzinach nastąpi uzdrowienie, podobnie jak to się odbywa z cukrem? Kiedyż Polak przestanie zazdrościć rozmaitym cudzoziemcom tego, że nie mają własnych bogactw naturalnych i otrzymują rozmaite produkty z Polski taniej, niż Polacy muszą za nie płacić w swoim własnym kraju? A często nawet nie mogą korzystać z tego, czem się cieszą cudzoziemcy, dzięki przywozowi z Polski.

Piszący te słowa zna wypadek, kiedy pewien obywatel polski chciał zastosować w swoim domu pewien system automatycznie regulowanego paleniska do centralnego ogrzewania, jakie poznał z doskonałego funkcjonowania u znajomych w Szwajcarii. Palenisko było na ropę naftową. Niestety okazało się, że w Polsce cena ropy i trudności dostawy są takie, że trzeba było z tego doskonałego paleniska zrezygnować i pozostać przy węglu, który jest zresztą też droższy, niż polski węgiel zagranicą.

Marnujemy wciąż nasze możliwości i bogactwa naturalne bez pożytku dla kraju, z korzyścią pewno tylko dla grupy spekulantów i pośredników.

ARGUS

NA MARGINESIE

— Wiesz, akademika Goetla spalono w Katowicach!
— Kto go spalił?
— Pierony śląskie.
— Teraz rozumiem, dla czego akademicy z P.A.L. tak mało pisują. Co się który odezwie, to go spotyka nieprzyjemność.

*

Nic zabawniejszego, jak artykuł w „Zaczynie" przygotowujący grunt „ideowy" do wielkiej niespodzianki, jaką gotuje Polsce p. Koc. Artykuł streszcza się w tytule: „Organizowanie głupoty a ruch umysłowy". Dotychczasowe stronnictwa były organizacjami „głupoty", teraz zobaczymy organizacje rozumu. Będzie to „ruch umysłowy". (Podkreślenia nasze).

> „Większość ludzi nie pojmuje, że zanim nastąpią widoczne efekty tego nowego ruchu, zanim nawet pojawią się skrystalizowane plany czy instytucje, musi nastąpić nowy wysiłek teoretyczny, który umożliwia dopiero realizatorską twórczość **n o w y c h i d e i**.
>
> Im dłuższy i głębszy jest ten ruch, tem szybciej i bujniej przejawia się okres rozkwitania nowego układu, który — nie biorącym udziału w tym ruchu i nie przygotowanym teoretycznie i umysłowo — wydaje się jak *deus ex machina*, czemś nagłem, nieprzewidzianem i przypadkowem.
>
> Oczywiście **u d z i a ł m a s w r u c h u u m y s ł o w y m j e s t z g ó r y j u ż n i e m o ż l i w y**; w ruchu umysłowym nie gra roli liczba ale jednostka. Ważną jest natomiast **g ł ę b i a i d e i**, jej rozmach twórczy.
>
> Masy występują na widownię dopiero w miarę realizacji idei. Stąd ruch umysłowy nie ma nic wspólnego z organizowaniem głupoty. Organizacje stawiające na masowość i głupotę, nie pojmują wartości ruchu umysłowego".

Będzie to więc organizacja mądrości. Ktoby pomyślał, że tyle tego światła ukrywało się dotąd pod—kocem!

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9,** półrocznie zł. **17,** rocznie zł. **32,** zagranicą kwart. zł. **12,** półroczn. zł. **24,** rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **8.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 8/5. Tel. 205.80 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.